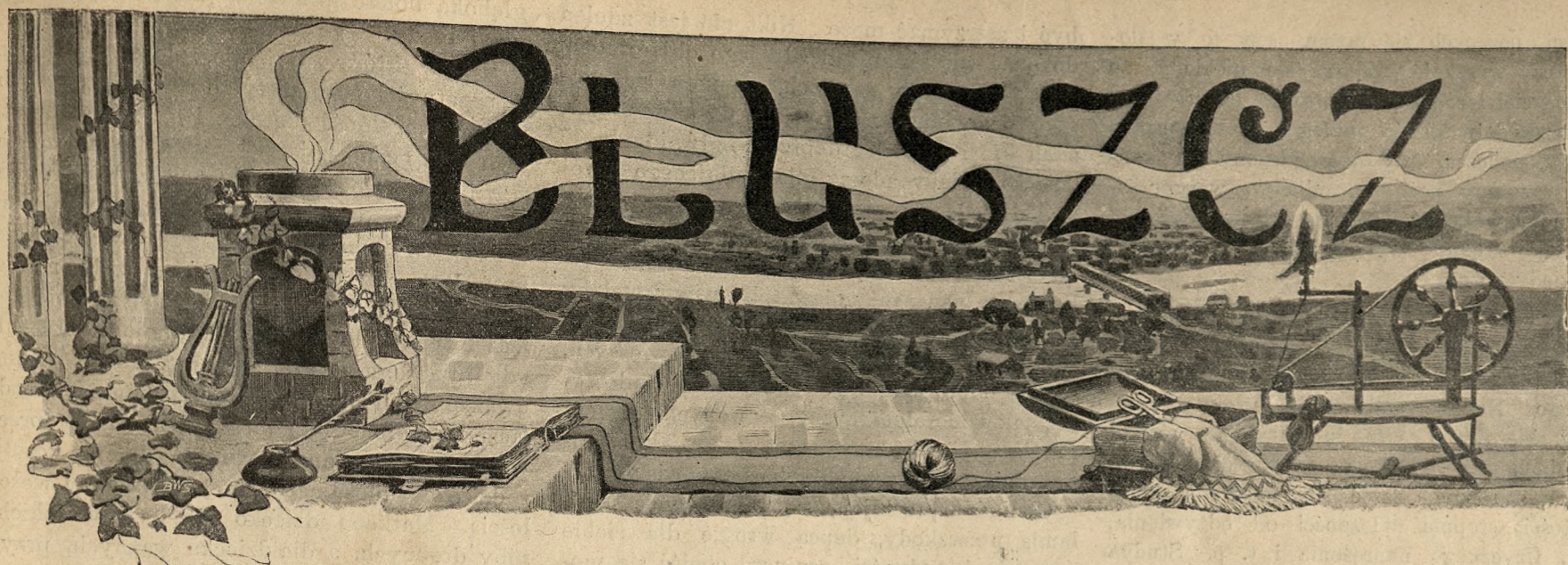




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 23, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz pełnym lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Po-
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,50.

Jeszcze o psychologię dziecka.



Najznamienniejszym zwrotem w dziedzinie nowych sposobów i nauk wychowawczych, jest skrzętne badanie fizycznego i umysłowego rozwoju dziecka, jak i wogóle jego duchowej indywidualności i niewątpliwie jest to kierunek, niezmiernie doniosłego znaczenia, mogący w czasie przewidzianym ważne przynosić wyniki.

Nauki biologiczne, jak zoologia i botanika, zasadały się dawniej przeważnie na badaniu systematycznym klas, czyli grup, rodzin poszczególnych, pokrewieństwa ustrojów i t. p., dziś system ten ustąpił w znacznej mierze badaniom „życia,” zwierząt i roślin. Słusznie przypuszczać należy, iż nowy ten czynnik, wprowadzony do nauk biologicznych, obudził też i w naukach wychowawczych nowe prądy i kierunki.

Zwrot ten u nas nazywa się „psychologią dziecka,” w Anglii „Child Study,” w Ameryce „Paidologie,” a wszędzie, mimo niedawnego jeszcze czasu trwania, zyskuje dla swych zasad najpoważniejsze wychowawcze siły. Badaniem rozwoju ciała i duchowej indywidualności dziecka zajmują się doktorzy, filozofowie, nauczyciele-pedagodowie, którzy utworzyli już nie jeden związek i nie jedno specjalne wydają pismo. Badania uczonych i doświadczonych specjalistów obejmują obok intelektualnych przykładów, obserwacje nad przyrostem wagi tak u chłopców, jak i dziewczynek. Znanymi są statystyczne dane zebrane w tym względzie przez zmarłego niedawno szwedzkiego profesora Axela Keya, złożone w „północnem” medycznem archiwum, jak również angielskiego doktora Mac-Donalda i wielu innych.

Wiadomo, że wiele dzieci obojej płci, rośnie z niezmierną szybkością, przyczem jednak rozwój umysłowy bywa opóźniony; znaczy to, że stosunek nie jest zupełnie normalny. Według obserwacji Keya w 10-ym roku życia przychodzi u chłopców okres, który można by nazwać okresem stagnacji, podczas gdy okres od d. 7-go do 9-go przeciwnie, można by nazwać okresem rośnięcia i rozwoju. Od roku 11-go do 15-go wraca znów większa łatwość rozwoju, słabnąca ponownie do roku 20-go.

Nazbyt wczesną dojrzałość uważać należy dla dziecka za bardzo niekorzystną. Stopniowy, spokojny, a pewny rozwój bywa zwykle najtrwalszy i w wynikach najkorzystniejszy. „Cudowne dzieci” stają się szybko przedwcześnie dojrzałymi ludźmi, a błyskotliwa ich świetność nie trwa długo.

Różnice rozwoju tak fizycznego, jak i duchowego, między jednym indywiduum, a drugim, bywają pośród chłopców bardziej rażące, aniżeli pośród dziewczynek. Genialność w zestawieniu z zupełnym brakiem inteligencji daje się wśród mężczyzn częściej zauważyć, aniżeli wśród kobiet. Równość atoli w rozwoju dziewcząt nie wyklucza bynajmniej silniejszego umysłowego rozwoju, tak, że z punktu widzenia na sumę umysłowych zdobyczy, przeciętna kobieta w zupełności odpowiada przeciętnemu mężczyźnie.

Przy bacznej obserwacji poszczególnych indywidualności uczniów i uczennic, uderza nas różnorodność uzdolnienia i usposobienia, jak i różnorodność ich rozwoju, odnośnie do chłopców i dziewczynek. Przykłady te naprowadzają obserwatora często na teorię dziedziczności, a zarazem na pytanie: czy wychowanie może oddziaływać na odziedziczone przez dziecko skłonności.

Nowsi wychowawcy uważają, że istnieje sześć podstawowych uczuć, czy przymiotów,

o zupełnie różnym charakterze: bojaźń, złość, litość, miłość, wstyd i duma. Jeślibyśmy atoli chcieli jedno z tych uczuć obserwować, doświadczać, weźmy np. uczucie litości, musieliśmy napotkać nie jedną wielką trudność. Chcąc bowiem uczucie to na światło wyprowadzić, musieliśmy przedewszystkiem usunąć wpływy, postronne przeszkody: warunki, w jakich, dajmy na to, chłopiec wzrasta, jego fizyczne właściwości (choroby, ułomności), które nie mogły pozostać bez wpływu na rozwój uczucia, nareszcie wzrastanie bądź to w surowych warunkach braku, bądź w rozdelikacujących warunkach zbytku. Dalej, zanim orzekniemy, czy chłopiec, który nie okazuje litości, nie odczuwa jej w głębi swego serca, musimy zbadać, w czym leży tego przyczyna. Może on nie rozumie wyrazu cierpienia, może zewnętrzne wrażenia nie łatwy dostęp mają do jego ducha, może nie nauczono go rozumieć bólu, którego sam nie zaznał nigdy a brak własnego doświadczenia czyni go nieczułym na cierpienie nawet z teorii nie znane mu zgoła. Syn zamożnych rodziców niema pojęcia o tern, co się nazywa głodem, niezbyt rozwinięty duchowo, gdy mu własna intuicja w tem nie pomoże, poprostu przez brak zrozumienia, nie zaś przez brak serca, nie okaże głodnemu litości.

Taka więc drobniogowa analiza przeprowadzona być powinna, zanim mamy prawo odmówić dziecku zdolności do współczuwania niedoli innych. Równie ostrożnym należy być, gdy chodzi o stanowcze orzeczenie, czy dziecko ma zdolności do tej, czy do owej nauki, np. do matematyki albo języków. Tu trzeba koniecznie wziąć pod uwagę pierwsze lekcje, jakie dziecko w tym przedmiocie otrzymało, pojęcia jego o przedmiocie, którego się uczy, odnośnie do owego przedmiotu rozmowy otoczenia, stosunek dziecka do nauczyciela czy nauczycielki, stosunek do kolegów czyli

dzieci uczących się razem, czy to w domu, czy w szkole. Zdarza się niekiedy, że nauczyciel i rodzice odmawiają dziecku stanowczo zdolności do jakiegoś danego przedmiotu, podczas, gdy doświadczony obserwator, rozumny pedagog, odkrywa w tym samym kierunku, w krótkim czasie, zdolności nie tylko średnie, wystarczające, lecz nawet niekiedy wybitne.

Poważne też znaczenie w rozwoju uzdolnień dziecka ma jego siła do pracy, siła znoszenia utrudnienia, jakąkolwiek pracą wywołanego. Nowsze próby badań wielu pedagogów, skierowane są też ku określeniu wielkości duchowej siły pracy, szybkości w wykonywaniu różnych zajęć, siły zmęczenia, sprężystości, stopnia zależności od odżywiania, snu, fizycznego naprężenia i t. p. Studya i doświadczenia w tym kierunku mogą istotnie wykazać wiele ciekawych i pożytecznych przykładów, z tem atoli zastrzeżeniem, aby wszelkie doświadczenia odbywały się bez z góry powziętych uprzedzeń, na czysto obiektywnym gruncie.

W każdym razie zdolności dziecka najwyraźniej ujawniają się wtedy, gdy je przyzwyczajamy do wytrwałej pracy. Dwóch rzeczy atoli zmierzyć, ani zważyć nie możemy: zajęcia i woli, bez których człowiek nie dokona nigdy niczego wartościowego. Dowodzone przecież, że arcydzieła Rafaela są mniej wynikiem jego genialności, aniżeli jego wytrwałej pracy. Jeśli takie dowodzenie postawić można o geniuszu, to natomiast, na pociechę słabo obdarzonych powiedzieć można, że gdy tylko silnie zechcą, mogą zdolności swoje udoskonalić i pożytecznie wyzyskać na drodze, na jakiej los pracować im każe. Dla tego przy nauczaniu dzieci należy niezmordowanie pamiętać o tem, aby ich zajęcia rozbudzać i wolę umacniać.

Nieustające badanie fizycznej i duchowej indywidualności dziecka, doprowadzić może w przyszłości do ideału nauczania, to jest do jego indywidualizowania. W najwcześniejszej epoce nauczania, rodzice, wychowawcy i nauczyciele winni swą pedagogiczną pracę doprowadzać do harmonijnego zespołu ze zdolnościami i charakterem dziecka. Swoboda, pozostawiona w niewłaściwym czasie, zastosowana nazbyt późno, łatwo przekroczy granice, jakie i tu rozumnie zachowane być powinny i zamiast dodatnich, dla dziecka najkorzystniejszych wyników, wyrodzi: samowolę, upór i przedwczesną, niezmiernie do wypełnienia trudną zarozumiałość. Rzeczą jest rodziców i rozumnych wychowawców, żeby tu, jak i w każdym wychowawczym czynniku zachować odpowiednie granice. W wieku, w którym dziecko idzie do szkoły, podlegać ono musi pozornie przynajmniej, ogólnym, jednakim warunkom dla wszystkich. Mało utalentowane i szczodrze przez naturę talentami obdarzone, leniwe i pracowite, powolne i żywe, nisko i wysoko moralnie stojące, wszystkie uczą się razem i wszystkie w jednakowy sposób są niby na pożytecznych, dzielnych członków społeczeństwa przygotowywane; indywidualność dziecka zaznacza tylko większe lub mniejsze pragnienie wiedzy, jak i granice tego, co z nauczania zdo-

być i zatrzymać może. Nikt nie jest zdolny dokonać więcej, aniżeli siły jego objąć mogą.

Gdyby więc w szkołach, rozumie się niższych i średnich, nauczyciele uczniów swych znali i rozumieli dobrze, indywidualność dziecka byłaby nieraz dla miłującego swój zawód pedagoga wskazówką, w jaki sposób nauczanie utrwalić, a wpływem korzystnym na uczniów oddziaływać trzeba. Indywidualizowanie nauczania niewątpliwie wpłynęłoby na to, że w społeczeństwie naszym, coraz więcej spotykilibyśmy ludzi odpowiednich, to jest odpowiednio pod względem wiadomości, jak i moralności przygotowanych do spełniania podjętej przez siebie pracy, lub zajmowania powierzonych sobie stanowiska.

Geniusze przebijają się przez życie sami, łamią przeszkody, depcą wrogie dla siebie przesady i trudności, geniusze obejść się mogą bez pedagogów i nauczycieli zdolnych, traktujących zawód swój z umiłowaniem i uczniów swych z równą miłością. Takich pedagogów, niby światła i odżywczego pokarmu potrzebują duszyczki przeciętne, lub mniej niż przeciętne przez naturę wyposażone, dla takich dusz niebezpiecznym jest i zgubnym, jeśli przez wychowawców nie są odczute i zrozumiane. Kto wie? może szkoła przyszłości, inaczej, lepiej pojmie swoje zadanie, może dziś przyjęta tresura ustąpi przed postępowaniem, które ucni na ludzi, nie na szablonowe figury kształcić będzie.

Jeszcze jedno. Szkoła, miasto umoralniać zaprawia dzieci nasze do kłamstwa, wiemy o tem wszyscy,—ale zapytajmy siebie, dlaczego dzieci wogóle nawet maleńkie, po większej części, wszystkie kłamią.

Kłamstwo jest jedną z najszeptniejszych wad u człowieka dojrzałego, u dzieci bywa czemś tak częstym, zwykłym, że nieomal naturalnem się wydaje. Dlaczego? „Dzieci z natury są prawdomówne i szczerze,“ słyszymy, jak słowa te śmiało i przy wielu sposobnościach powtarzają rodzice. Czyżby więc skłonność do kłamstwa zaszczipiała się z „natury“ w naturę dziecka, zanim ono na świat przyjdzie? Czyżby tu oddziaływał brak jasności, prostoty, brak bezwzględnej uczciwości, szczerości, prawości, jaki często, niestety, zakorzenia się u przeciętnych ludzi. Ten brak wobec świata, to jest innych ludzi, to nie występki, nie zbrodnie, nawet nie wada ani słabość, a jednak, jakżeż on brudzi czystość duszy i charakteru i jeśli istotnie na wartość natury dziecka oddziaływa—to zbrodnia.

A potem niezaprzeczenie wpływają skutki fałszywego wychowywania. Groźba kary, ostre, niekiedy bardzo niebaczne słowa, niekiedy „klaps,“ który niby „nie boli,“ którego dziecko niby „nie czuje,“—wszystko to są grzechy przeciw prawdomówności i nieskażonej szczerości dziecka. Grzechy bardzo w następstwach swych ciężkie. Bo cóż jest naturalniejszego nad to, że dziecko gwoi obronie własnej chwytając się kłamstwa. I cóż pomoże, jeśli znów za schwytanie dziecka na kłamstwie ukarzymy je surowo biciem? Oto postara się następnym razem kłamać przebieglej, zręcznie, żeby mu już winy dowieść nie było można.

Na dzieci przeciętne, to jest przeciętnie dobre, największe wrażenie wywierają rodzice, jeśli umieją im we właściwy sposób okazać

głębką boleść sprawioną przez ich przewinienia i błędy.

Matka, która łaje, bije, złości się i kłóci w szpetności swej nie tylko oddziaływa zgubnie na moralność dziecka, lecz nawet obraża jego estetyczne pojęcia i wywołuje najczęściej zrazu strach, potem zacięty opór. Pedagogicznem bywa niekiedy, zwłaszcza względem dziecka w ambicji swej wrażliwego, małe, broń Boże, nigdy nazbyt silne! upokorzenie: stanie w kącie, jedzenie przy osobnym stole itp., lecz i tych „niewinnych“ kar nie należy nigdy przeciągać za daleko, dziecko powinno uważać je poprostu za nieuniknione, nieodłączny wynik swojej niegrzeczności czy przewinienia i powinno powrócić do pieszczoty rodziców z niezamąconem kochaniem i wesołością. Matka i dziecko stają się w takich, niby drobnych, a dla dziecka ważnych, przypadkach, skojarzonymi przyjaciółmi.

Nigdy też nie należy w obecności dziecka opowiadać [przed osobą trzecią o przykrych dla niego wydarzeniach. Duszyczka dziecka jest nad wyraz wszelki czuła i wrażliwa i dopiero doświadczenie, rozwój, przykrości, kolce życiowe, nakładają na nią coraz grubsza powłokę.

Zofja Seidlerowa.



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Potem nogi moje całuje i przeprosza, i przysięga, że mi życiem zapłaci za moją łaskę i dobre słowo — a mnie już wszystko jedno, patrzę na nią, jak na cudzą, i to życie, to mi całkiem jedno, jakie będzie.

Jak ozwał się sygnał sznecugu, co po północy szedł, tom wstał, latarnię zapalił i wyszedł.

Przeleciał pociąg, wróciłem do izby, patrzę, skulona siedzi na ziemi w kącie. Zgasilem latarnię i mówię:

— Gaś światło i kładź się. Co się stało, nie odstanie, niema więcej co gadać!

I położyłem się. Rano wstaje, ona tak samo skulona siedzi, już nic nie mówi, tylko patrzy na mnie.

— Śniadanie dawaj! — mówię.

Zerwała się do roboty, milczym oboje i takem poszedł na linię. Jużem się nie obejrzał na dom, anim nikogo, ni czego wyglądał przez dzień. Przyniosła obiad, zjadłem, spytała coś o ogród, odpowiedziałem, — ani czuję, by mi czem była. Wieczorem zjadłem sam wieczkę, anim się zatroszczył, że jej obok mnie na ławce niema, że nie je razem. Tak było z tydzień, aż wreszcie ona nie wytrzymała, znowu mi do nóg pada.

— Janku, — pyta, — co ze mną będzie? Albo zabij, albo odpuść. Niech wiem, co myślisz? Nie wytrzymam!

Ja sam nie wiem, co we mnie się stało!

Zabić jej nie chcę, a odpuszczyć jakże można, kiedy zapomnieć nie można. Tak patrzę, patrzę — i nie wiem, co rzec.

— Czegóż ty chcesz, — mówię wreszcie. — Innyby cię zakatował i precz wygonił, ja ci krzywdy nie zrobię. Co więcej można? Jaką ja ciebie pokochał i brał — nie jesteś, a wierzyć tobie już nie potrafię. Ale cię nie rzucę i opiekę dam — więcej nic!

— Jakże mi żyć! — powiada.

— A jak mnie, to nie pomyślisz? — odparłem.

Nie mi więcej nie rzekła, poleżała chwilę, potem się podźwignęła i poszła do komina, do roboty.

Stała się ta izba nasza taka smutna, jak izba takiej wdowy, której ostatnie dziecko w trumnie wynieśli. Jeszcze czas jakiś ona, nieboga pracowała szczerze, zda się, zgadywała, co lubię; dogadzała, patrzyła w oczy, chcąc zgadnąć, czy zawziętość odpuszczami zagadywała pokornie. Nigdy jej niechęć, nie okazał — ale tak mi się zdawało, na nią patrząc, że nikogo niema, a słuchałem mowy: jak drogą idąc, słucha się co mówią mijający.

Potem przestała się odzywać. Gdy przyniosła obiad, tośmy nie zamienili słowa, a wieczorem, to siadywała w ciemnym kącie, bez roboty i ruchu, a jakem zagadał, to jakby ze snu się budziła i często odpowiadała bez związku, a ginęła w oczach. Nie widziałem, by kiedy jadła, czy spała.

Tak raz powiadam już z irytacją:

— Ty się opamiętaj, kobieto. Toć tak się wydaje, jakbym to ja tobie zawinił. A to pożałuję, że się po ludzku z tobą obszedł. Chimeryczysz, jakbym ci krzywdę zrobił. Co tobie się roi? Złegom ci słowa nie dał, może chcesz, żebym ci jeszcze dziękował i pieścił za twoje oszukaństwo, i rozpadał się, jak nad porządną dziewczyną.

Zajęczała, zgarnęła się w kłębek, i powiada,

— Ja już pójdę, pójdę od ciebie. Nie długo — ino zmożę żal i strach. O Jezu! Miej ty litość nade mną — nie mów tak!

Pożałowałem prędkości.

— Już cię nie wyganiam, ani co mówił pókiś mnie z cierpliwości nie wywiodła. Toć patrzeć nie można, do czegoś podobna — a com ja winien?

A ona patrzy na mnie, rękoma dusi piersi i mówi:

— Janek — a bym ci prawdę wyznała, wziąłbyś ty mnie za żonę?

Mówię ze szczerością: Nie.

Zakryła oczy rękoma i trzęsie ją cała.

— Ja tak myślałam, a takem cię ze wszystkiej mocy miłowała, że nie przemogła strachu, że mnie rzucisz, jak się dowiesz. Myślałam, Bóg się nademną ulitował, nad wszystką męką, com przeżyła. Nieprawda, komu zguba sądzona, to niema dla niego ni u Boga, ni u ludzi ratunku. Tyś prawy i sprawiedliwy, ja winna, ja grzeszna, ja zła. Połamałam ci życie, wstyd naniosłam, brud, hańbę! Ja sobie pójdę, już ja ciebie nie proszę, byś mi wybaczył, już czuję, że tak żyć nie sposób. Już cię uwolnię od siebie.

— Nie trza ci isć, ani cię puszczać. Nie desperuj — że tyle. Co to pomoże. Zgryzota nie odejdzie. Weź się do roboty, to i zapomnisz!

Od tej godziny już starałem się schować

w siebie swoje myśli i nigdy nie pokazał, co mnie żarło. Zaczęliśmy gadać ze sobą, to o gospodarstwie, to o robocie, tylko nie mógł jeszcze się przemódz, by jej dotknąć, by objąć, by pocałować. Jakem pomyślał o naszym kochaniu, to mi się przypomirało, jakem raz w Kownie znalazł w studni utopione dziecko. Leżało tam może tydzień, a ja niewiedzący wodę pijał i nic nie czuł, a potem tom już z tej studni ni kropli do ust nie wziął więcej! Mańka też nie garnęła się do mnie i takeśmy żyli, jak towarzysze w więzieniu, bez swarów, bez złości, ale i bez szczerości.

Którejś niedzieli — wzięwszy miesięczną pensję, zabawiłem w szynku. Nigdy wódki nie lubił, ale teraz to mi się jej zachciało, jak wody. Wypiłem butelkę, alem nie nie czuł, tylko mi jakoś źle spiewać i śmiać się brała ochota.

Poszedłem do domu i com kiedy paskudnych spiewek słyszał, to mi się wszystkie przypomniały, tom je gwizdał, to spiewał, i śmiał się sam do siebie. Podchodzę do domu, widzę Mańka na progu siedzi — takem na cały głos zaspiewał:

Moja miła panna chodzi, wianka nie traci,
Chociaż miała tylu chłopców, ilu nas braci!

Wstała była na mój widok, ale jak posłyszła to, bez słowa powitania weszła do izby. Podaje mi wieczerek, ręce jej się trzęsą, blada, jak ściana. Mnie ciepło izby rozmarzyło, więc ledwie zjadł, położyłem się i zasnąłem.

Jak przez sen słyszę ze stacyi sygnał sznelcugu. Podniosłem ciężką głowę, patrzę — Mańka już ubrana, zapala latarnię.

— Ty idziesz? — pytam.

— Idę, Jaśku, idę. Śpij spokojnie, biedaku!

Już z latarnią podeszła do mnie, okryła, poprawiła poduszkę — popatrzała i wyskoczyła na dwór. Mnie się coś zdało, że posłyszałem niezwykły gwizd lokomotywy, jeden, drugi, potem huk przelatującego pociągu, potem znowu gwizd, jakiś szum, zgrzyt, alem się nie poruszył, ani rozbudził zupełnie. Dopiero zerwałem się na nogi na wołanie i stukanie w okno.

Wyskoczyłem, odrazu wytrzeźwiony. Myślę — pociąg się wykoleił. Na plancie przy zastawie ludzie z sygnałowemi latarniami krzyczą, wołają:

— Dróżnik! dróżnik!

Lecę bez tchu. Noc miesięczna, jak dzień. Patrzę, Mańka na szynach, przez piersi na pół rozmiądzona. Tak i koniec!

Kto ją zabił? kto ją zabił? Ja, ja! Powiedzieli ludzie, że się potknęła przy zastawie, że senna była — napisali tak i pochowali. Żeby wiedzieli, co ja wiedział, toby jej do święconej ziemi nie przyjęli, a żeby wiedzieli, co ja czuł, na tego trupa patrząc, toby mnie powinni byli w kajdany zakuć. Ja zaraz z tamtąd poszedł. Całe to lato tom jak borowy zwierz żył, na drodze, w lesie, w zbożu. Nie pamiętam com jadł, gdzieś spoczywał, czym słowo wyrzekł do człowieka. Szedłem, szedłem, a jak skrzydła wiatraka, tak mi się myśli kręciły. Ja mordercą był, maszyna bezduszną bronią, aleć dlaczego ja zamordowałem, za co? Czy ja winien tylko sam?

Poszedł ja w jej strony, odnalazł ten dwór

i tego pana. Bogaty, poważany obywatel. Żonę miał, dzieci. Kłaniał mu się wielki i mały, w kościele swą ławkę miał najpierwszą. O Mańce już i pamięci nie było, dopiero jak się rozpytałem, przypomnieli, że bez wstydu była, bo jak panicz z nią się pobawił, to do pani poszła ze skargą i do proboszcza ośmieliła się chodzić z narzekaniem — taka bez ambicyi była. Pani i proboszcz jak się należy zwymyślali i wypędzili, i że ładaco była, to i słusznie, że przepadła. Panicz, wiadomo, jak każdy z dziewczętami się zabawiał, ale teraz, to już się ustatkował. Był ja potem i w Bobrujsku — odnalazł tych państwa, u których służyła — krótko trzymali, bo jak się przekonali, że jest brzemienią, wypędzili ze wstętem. Nikt jej nie usprawiedliwił i nie wybaczył, ni ta pani, co ją chowała, ni proboszcz, ni to państwo, ni ludzie znajomi. Zkądże ja miał być inny, za co na mnie jej krew i dusza. I w domu od matki ja słyszał, i w kościele ksiądz nauczał i w prawie stoi, że taka kobieta brudna i potępiona i od czci odsądzona jest, i hańbę niesie, i nie godna w uczciwy dom wejść. Oszukała mnie miałem prawo karać. Sto razy tom sobie wytłómaczył i nie mogę spokoju mieć. Jednak jak w dzień, tak w noc, czuję w sobie jakąś duszność i szept: „Zabiłeś, zabiłeś!“ Coś innego jest na świecie, coś fałszywego we wszystkim; jest na świecie jakaś maszyna, co zgrzyta, i szarpie, i dusi, a ja jej był bronią. Ja zrobił — co ta moc kazała. Ja przekłety, ale przekłeci i ci wszyscy przedemną. Życie mi męką i zgryzotą, a wiem, że i po śmierci sąd mnie czeka. Oj, czeka i przyjdzie! Ona nieboga mnie nie poskarży, ona się za swą krew u mnie nie upomni, ale z tamtej strony inne prawa i zakon. Tu na ziemi Boga niema, ale On tam jest, — bo śledczy z jego ręki we mnie jest, pomimo wszystkie ludzkie ustawy, i gada, że sąd mój odroczone, aż mi śmierć pozew wręczy. Wtedy ja pójdę — wtedy mnie powiodą na sprawę. Ale ja wtedy bronić się będę, ja milczeć nie będę, wtedy ja sprowadzę i przed Majestatem gadać muszą wszyscy owi, co wydali ludzkie prawa co mnie kazali taką kobietę w ohydzie i wstęcie mieć. Oni uczyli, oni przykazywali — ja słuchał! Ja się ich nie zaleknę wtedy, ani zmilczę, ani się Majestatu nie strwożę i powiem: „O Jezu, jeśli oni sługi i urzędniki Twoje i uczą, jakieś kazał, tom tej krwi niewinien, a jeśli uczyli mnie fałszu, to ukarż je jednak ze mną.“ I wtedy prawda się stanie i słuszny wyrok usłyszę, i jeśli On mnie skarże — odetchnę z męki. A dotąd nikt mnie nie uspokoi, ni pocieszy, ni rozjaśni, co mi ciemne. A tylko wiem, że mi gorzko i sromotnie, i pusto, i tak mi już będzie do końca! W nijakie ja już słowo, ni sąd, ni prawdę na tej ziemi nie wierzę! Tu tylko maszyny są, co wszystko miażdżą — ciała, i dusze, i myślenie! I nie lękam się też niczego na tym świecie, żadnej kłatwy. By mnie ksiądz w swem politowaniu i rozgrzeszył — nie pozbędę się dusznej zgryzoty, by odmówił odpuszczenia grzechu, — to tem już nie udreży gorzej. Nie poweseleję, bym zebrał grosz — nie będę się troskać, gdy śmierć nędza i głód przyspieszy. Pewny ja, że i to dziecko zamrze, i słusznie będzie, bom nie uchował ży-

cia tamtej umiłowanej! I to już wszystko — wszystkim powiedział — całą dołą!

Umilkł i ciężko odetchnął, a potem otarł rękawem pot z czoła i podniósł wzrok nieufny na księdza.

A ten milczał z głową pochyloną, chmurny bardzo, jakby tego, co myślał i czuł nie śmiał powiedzieć.

Wreszcie i on ciężko westchnął, podniósł głowę i spotkali się wzrokiem, i niewiadomo czyje oczy smutniejsze były.

— Gedras, ja cię ani potępię, ani uniewinnię. Mnie ciebie serdeczny żal, biedaku, i radbym ci ulżyć, pomódz żyć. Czyń dobrze i ile twej mocy chroń słabych od zmiążdżenia. W jałowej rozpacz, i żalu, i buncie nie godzi się żyć. Ratuj od zguby bliźniego, — wtedy poczujesz, że Bóg i tu jest! Czy chcesz się ze mną pomodlić? czy tyś się kiedy pomodlił serdecznie za tę, która cię tak kochała?

Gedras potrząsnął głową.

— Nie, nigdy nie śmiał? — szepnął.

— Nie masz racji. Wszakże radbyś ją przeprosić, a jakże to uczynisz inaczej, jak przez Boga. Pokłękni, zmówmy za nią pacierz.

Gedras usłuchał, ukłękł obok siebie u okna, ksiądz odmawiał pacierz, tamten poruszał ustami i trząsł się, jak w febrze. Gdy powstał, ksiądz mu rękę na głowę położył.

— Codzień, o tej samej godzinie, ja za was ten pacierz odmówię, jak zechcesz razem być, to ty tam u siebie także się pomodl. A w każdej życiowej potrzebie i sprawie do mnie, jak do przyjaciela przychodź. A teraz idź z dobrą myślą do dziecka — nie zamrze. Bóg ci je dał na pociechę — uchowasz!

(Ciąg dalszy nastąpi).



WIOSNA SZTUKI.



Dwa krańce niebios wielka tęcza spina,
Cud Bożkiej ręki — kunsztowny dyadem!
Pod nią rozchwiejna obłoków tkanina,
Dzierżgana złotem, płonie srebrem bladym.

W błękitną, jasną ciszę otulona,
Śni dusza nieba o przededniu ery,
Gdy dusza ziemi wyjdzie z pieczar łona,
I z nią się stopi wśród najczystszej sfery.

O, sztuko nowa! tyś jako arkada,
Jak łuk tęczy nad starą budową,
Co niewznawiana w gruzy się rozpada
Po nad upartych jej czcicieli głową.

O, sztuko nowa! zadaniem twem świętem
Wyzwolić ducha z mroczni nów sklepionych,
I wszystkie więzy stargawszy ze szczytów,
Być czystą perłą swobód niewyśnionych.

Nie dotkną ciebie poklask, ani wzgarda,
Z dumy obliczem załsnij nad poziomem,
Tłumom szyderczym okazać się nie harda,
Lecz niepojętym gniotąca ogromem!

W sennie ekstazie, w mistycznym zachwycie
Oczy i duszę w niebios błękit topię;
Barwistej tęczy gaśnie na nim życie, —
Na nieskalanym ziemskim pyłem stropie!

Nad ziemią łuk swój rozciąga i ginie;
Z żalem ją żegnám! lecz jeśli by dłużej,
Jeśli by wiecznie trwała na wyżynie...
Co jest tak pięknem, że nigdy nie znuży?...

I myślę teraz, że ty, sztuko młoda,
Będąc aż dotąd dla tłumu zagadką,
Wzbudzasz ciekawość — lecz któż pewność poda,
Że tak trwać będzie, gdy się staniesz matką?

Gdy się urodzi z technię twoich jaka inna,
Bardziej nieznaną, więcej tajemniczą,
I chociaż życie swoje tobie winna
To niepodobna z duszy i oblicza.

To wiosna twoja!... Huczą nawałnice,
Ślepej potęgi skupione przemocą,
Lecz ty, odziana w natchnień błyskawice,
Wzrastasz, świadoma, gdzie dążysz i po co.

Tyś jako tęcza!... Tyś pragnieniem ducha!...
Nad uśpionymi gromem pełni życia!
W tobie ból świata rozpaczą wybucha, —
Ból dusz, w przedświety wpatrzonych z ukrycia!

To wiosna twoja! Już blisko do celu;
Wzrastaj, na wszystkie pociski odporna,
Aż będziesz kiedyś pojęta przez wielu,
A wtedy przyjdzie twa doba wieczorna.

Naddnieprzanin.



Dobre wychowanie.



IV.

Już bracia młodszy, a więc następcy bezpośredni nieszczęśliwców, pchniętych na „nowe drogi“ bez przygotowania, znaleźli się w warunkach pomyślniejszych, szkoły fachowe, szkoły handlowe ogólnie kształcące i politechnika spóźnione dla pierwszych, dla nich przyszły, w porę.

Podwoje uczelni przyjęły liczne zastępy wychowanków; nie zbrakło miejsca dla nikogo.

Świeży prąd powiał: w szkole filologicznej zmniejszono nieco wagę balastu klasycznego, by w jakiś czas potem zredukować go jeszcze bardziej. Nauka, stąpająca na koturnach wśród bogów Olimpu i bogiń, powoli schodziła na ziemię — do życia praktycznego.

Że nie dotarła do wszystkich posterunków, na których ujrzeć byśmy ją pragnęli, winien temu nasz własny brak inicjatywy i nałóg chodzenia „gęsiego“ za gromadą. Ta metoda sprawiła, że przemysł i handel stały się w krótkim czasie benjaminkami społeczeństwa, zyskują też coraz więcej przedstawicieli uzdolnionych, rolnictwo zaś w granicach przygotowania średniego i niższego, czyli najpotrzebniejszego, poza rutyną przedpotopową nie posiada nic zupełnie *).

*) Dopiero w ostatnich czasach ruch w tym kierunku się obudził. (Przyp. aut.).

Fundament dobrobytu krajowego, łącznik pokoleń ubiegłych z teraźniejszymi i przyszłymi — zagon — utracił swe odwieczne prawa. Niegdyś wszyscy, którym fortuna dopisała, ubiegali się o niego, wierząc, że umacnia a nawet podnosi ich godność, właściciele dziedziczy opuszczali z konieczności, po wysiłkach najcięższych, teraz porzucili go nawet chłopci, dotąd przyjaciele najgorętsi. Poszli karczować niedostępne lasy brazylijskie i zamieniać je na orne pola, kosić łąny saskie i westfalskie, w fabrykach niemieckich i kopalniach cierpieć prześladowania hakatystów. Brak rąk robotniczych przy braku dłoni kierowniczej, świadomej sił swoich i środków, rośnie z każdym rokiem, — nie będziemy też dalecy od prawdy, mówiąc, że ostatnie „lata chude“ są w mniejszym lub większym stopniu rezultatem pośrednim owego opuszczenia.

Tak, bo strony zamożne same przez się, gleba z natury swej bogata, wyda plon nie zawsze jednakowy, lecz nie zawiedzie, — co innego grunty słabsze, albo piaski i sapy, których charakter tylko usilna praca ludzka może na korzyść swą obrócić. Nie czyniąc tego, wyjaławia ziemię i tak nieobfitą w materiały pożywne, pozwala suszy spalić zagony, łąki i pastwiska, lub wilgoci zgnoić je do szczegółu; szerzy ugory, zapuszcza nieużytki, daje rozkwit malarii, tyfusom i febram. Nie potrzeba tu nawet sięgać w dalsze okolice kraju, gdzie „świat zabity deskami“, komunikacja trudna, więc też i postęp dochodzi wolnym krokiem — czytelniczki, które zwiedziły Europę, a własnych okolic nie znają, zapraszamy do folwarków, odległych od Warszawy o parę przystanków kolei lub kolejki, by obejrzały i na miejscu sprawdziły.

Wszystko miećby tutaj można, naturalnie jednak — przy pracy, wytrwałości i koniecznym już dzisiaj wykształceniu fachowem, a sąsiedztwo wielkiego miasta, które na opędzenie swoich potrzeb zużywa moc produktów różnorodnych, daje rękojmię łatwego i korzystnego zbytu. Holender albo Niemiec wytworzyłby cuda ogrodnictwa, hodowlę ryb rozwinęliby szeroko, hodowlę drobiu, pszczelnictwo, jedwabnictwo i t. p. — wreszcie przeniesliby część mieszkańców do domostw czystych, wygodnych, tonących po prostu w zieleni i kwiatach.

Widzimy tylko pretensjonalne „stylowe“ wille dla letników, na pustyni, grożącej tym zesłańcom śmiercią głodową i folwarki — rudery na piaskach lub wśród torfowisk, przedstawiających skarby milionowe, a zapuszczonych, lekceważonych — w najlepszym razie eksploatowanych środkami pierwotnymi, bez żadnego planu i porządku.

Szkoły rolnicze niższe i średnie mogłyby dźwignąć stan ziemi wyniszczonej przez lichą gospodarkę, źle uprawioną (mimo ułatwień jakie bliskość Warszawy nastręcza) i zostawionej z roku na rok na pastwę żywiołów.

Jedyna u nas szkoła agronomiczna wyższa potrzebom tyłu uczynić zadość nie potrafi; brak nam przede wszystkim zdolnych oficjalistów, wykwalifikowanych ekonomów, a także rządów pracowitych, zajmujących się osobiście wszelkimi szczegółami gospodarstwa nie tylko z pedanterią i sumiennnością, lecz — z miłością.

Tej ostatniej wszakże żadna szkoła społeczna nie zaszczepi, należy ona bowiem do wychowania.

Szkoła kształci jedynie umysły — najlepsze cząstki ducha pozostawia odłogi, najszlachetniejszych strun nie tyka, pozwala im marnieć.

Nauka i wychowanie — dwa czynniki nierozłączone napozór i za jedno uważane, wzięły z sobą rozbrat. Rezultaty owego rozdwojenia straszne są — widzimy je wszędzie, co krok rzucają nam się w oczy faktami potwornymi. Jeden przytułek dla sierot, ochronka dobrze prowadzona, przeciwdziałają złemu skuteczniej, niż wszystkie razem zakłady naukowe a nie wychowawcze.

Wychowania! wychowania potrzeba młodzieży! wołamy pełnym głosem; — trzeba więc szkoły, któraby uwzględniała rozwój charakteru i siły woli, datami i formułami nie spowiadała ducha, lecz otwierała przed nim horyzonty jak najszerze — wiodła do ideału; szkoły, któraby kształcać wychowywała ludzi i wychowując kształciła zarazem.

Nauczycieli do takiej szkoły-wychowawczy nie brak w społeczeństwie, tylko nie należy ich szukać wśród rutynistów, pojmujących naukę w formie jak obecna. Wypada też w programie szkoły pamiętać o przechadzkach, uczniów z nauczycielami, o pogadankach, grach wspólnych, zatrudnieniach fizycznych i t. p. Przy robocie i zabawie jedni z drugimi poznają się, żyją, wreszcie zaprzyjaźniają — lekcya do tego celu nie wystarcza.

Że ujmie się tym sposobem trochę z programu katarynkowego, który *nastawia* uczniów z godziny do godziny na coraz inny motyw, że zabraknie czasu na wykuwanie chronologii, krzywda wcale niedotkliwa a jeszcze mniej groźna. Korzyści ją przerosną w tysiącokroć.

Nauczycieli uzdatnionych mamy sporo. Panowie „stad — dotąd“ — zwolennicy kucia liczą się do wyjątków. Przedmiot wykładany bywa ze znajomością rzeczy, — ale też tylko tyle — nic więcej. Po za lekcya, po za bramami szkoły między nauczycielami a uczniami wspólności ani śladu — żadnego wpływu, żadnego oddziaływania, a nawet sympatii. Nauczyciel i uczeń w szkole społecznej, to dwa przeciwne obozy, dwa bieguny, lub istoty względem siebie obojętne, gdy nie idzie o naukę. Jeśli wytworzy się czasem stosunek serdeczniejszy, to chyba *prywatnie*, na gruncie neutralnym, u kogo ze znajomych przy rozrywce wspólnej. Zawiazany w szkole liczy się do zjawisk nadzwyczajnych, do osobliwości.

Przeciążenie pracą jest jednym z następstw tego braku porozumienia; nauczyciel nie zna ucznia wcale, — zna klasę, całość, przedmiotu wykładanego kursu jednorocznego. Mierzy wszystkich jedną miarą, wtłacza w jedną kwartę. Taki system już sam z siebie tamuje rozwój indywidualny: zdolności słabsze doprowadza do wysiłku, gdyż stawia im nadmierne wymagania, którym podołać nie mogą, bujniejsze niby młode rumaki pęta, by nie wybiegły z zaopłotków.

Brak łączności i spójni między nauczycielami a młodzieżą przedstawia zjawisko bardzo smutne, bo oto z jednej strony rzesza przegromna, błędząca samopas, z drugiej rodzice, utajający szkole, wierzący ślepo w szkołę i spodziewający się od niej wszystkiego.

Zbyt wielkie wymagania — część odpowiedzialności rodzina ma obowiązek przyjąć!.. Prawda, lecz co zrobimy, gdy warunki domowe nie przedstawiają danych, na któreby można liczyć, gdy zajęcia rodziców całodzienne, słaby rozwój umysłowy, a nieraz i etyczny, wreszcie śmierć przedwczesna i niedbalstwo opiekunów oddają dziecko szkole, tylko szkole, wyłącznie jej jednej?..

A w szkole pustka!!

Od nożowców, mordujących się na ulicy, do gentlemanów, trwoniących czas, zdrowie i pieniądze w klubach, salonach, buduarach i t. p., to wszystko są ofiary owej pustki. Zdziczenie pierwszych i sybarytyzm drugich nie powstały same z siebie; stanowią wynik przyczyn, ciężkie ich następstwa.

Szkoła powinna być świątynią, w której kult ideału kwitnie obok kultu wiedzy, kapłanami wychowawcy. Powinna być ogniskiem, z którego nie tylko światło płynie szeroką falą, lecz i ciepło serdeczne. Stała się warsztatem, kuźnią mózgów. Światło, jakie rozlewa, chłodne jest, niby światło olbrzymiej lampy elektrycznej. Zadania wychowawcze szkoły nie mogą zostać pominięte pod groźbą upadku moralności społeczeństwa. Przecistawiają one dążenia wyższe, altruistyczne odwiecznej walce o byt, której obrazem są dzieje świata, a nawet rozwój nauk i brutalnemu egoizmowi życia, z jego codziennym mordowaniem zwierząt, ptaków i niszczeniem roślin dla użytku człowieka.

Wychowanie dziecka zaczyna się bardzo wcześnie. Na lat kilka przed pójściem do szkoły, zaraz od pierwszej chwili rozwoju pojęć liczyćby je należało — czy jednak i w rodzinie wybór środków odpowiada tym poważnym celom!.. Bona cudzoziemka „z szyciem“ (niedość, że obca pochodzeniem a często i wiarą, nieznana z charakteru, zasad i t. d., ma jeszcze dodatkowy obowiązek szycia, utrudniający jej obowiązki względem dzieci, a rodzicom kontrolę), lub jak najtańsza „osoba do początków.“

Karolina Szaniawska.

(Dokończenie nastąpi).



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



MNISZKA.

Dwie najwybitniejsze cechy człowieczeństwa — myśl wyższa i cel szerszy — jako też wychodzący z nich najdonioślejszy zakres działalności ludzkiej — ideowo-społeczny, były po wsze czasy zamczystym gmachem, który otwierać mogła tylko męska ręka. Kobieta bardzo rzadko zaglądała do wnętrza tej wa-

rowni, a jeszcze rzadziej przestępowała próg zaklęty, i to nigdy inaczej, jak w drodze łaski i w formie wyjątku. Dwa razy tylko zdarzyło się w historii, że otrzymała ona na tem polu gremialne równouprawnienie, i w obu razach okazało się, że uzdolnienie jej w tym względzie nie ustępuje męskiemu. Po raz pierwszy stało się to, — o czym już powyżej była mowa — w chwili, gdy rodzący się Chrystyanizm powołał do nowej idei, do świadectwa o niej i poświęcania się za nią, obie płcie jednakowo. Po raz drugi stało się to znowu, gdy tenże Chrystyanizm, już potężny i panujący, zapotrzebował współdziałania jak największej liczby ludzi dobrej woli, aby wydołać potrzebom społecznym tak duchowej, jak praktycznej natury, których zaspakajanie jemu, jako jednemu wśród barbarzyństwa kulturalnemu czynnikowi, było dziejowo wskazanem. Pod ten sztandar powołanemi zostały wszystkie dusze, bez względu na płeć, ciało w których mieszkają, a te, które stawily się na zawołanie, otrzymywały upoważnienie do wzniosłych czynności uduchowienia, oświecania i uszczęśliwiania społeczeństwa.

Ci wszyscy powołani nie działali oddzielnie i samodzielnie, lecz zrzeszali się w grupy mające wyznaczone sobie działy akcyi i pracy. Każda potrzeba społeczna znajdowała w nich wyspecjalizowanych pracowników, porzucanych wszędzie, gdzie było dla nich pole działania t. zw. zakonami domami, czyli klasztorami, a skupionych organizacją swą w ogólne zgromadzenia zakonne, którym jednolitość tendencji i rygor kierunku nadawali ład i siłę.

Wszystkie te zadania, akcyje i prace z młotem wyjątkami, jak np. misyonarstwo lub wykup jeńców, powierzaniem były od samych początków po wszystkie czasy zarówno mężczyznom, jak niewiastom, i nie została usunięta od najcięższych trudów i najwyższych poświęceń ta płeć, którą dla jej słabości odsuwano od urzędów i przywilejów społecznych.

Instytucja zakonów nie powstała nagle, skutkiem jednorazowego pomysłu i planu, lecz kształtowała się zwolna w łonie ludzkości, czerpiąc swe życie z krwi jej cierpień, z ducha jej potrzeb, wytwarzając w sobie stopniowo narządy i organa żywotowi społeczeństwu potrzebne. Najpierwszym tego zaczątkiem były pustynie Syrii i Tebaidy, gdzie w ustronnych jarach i jaskiniach skalnych kryli się przed pogańskimi prześladowaniami Chrześcijanie pierwszych trzech wieków. Niektórzy z nich, zasmakowawszy w pustynnym spokoju, nie chcieli już powracać do światowego rozgwaru, i pozostawali do śmierci na czystym łonie dzikiej natury, pogrążeni w bogomyślną ekstazie. Następnie poczęli się owi pustelnicy zrzeszać w gromadki, aby wspólnością pobożnych praktyk i wzajemną w pracy pomocą ułatwiać sobie doskonalenie się duchowe i skromnych potrzeb zaopatrywanie. Tak potworzyły się eremy i ławry, z właściwą już organizacją klasztorną. Po upaństwowieniu chrześcijańskiej religii, szybko się mnożyły monasteria Wschodu, zwłaszcza od IV-go wieku, gdy św. Bazyli, biskup Cezarejski, odosobniwszy się od światowego

zgiełku w puszczech Pontyjskich z gromadką uczniów, ułożył dla nich systematyczną regułę, którą następnie przyjęły wszystkie klasztory krain wschodnich, tak męskie, jak żeńskie. Od początku bowiem prawie w tem życiu odosobnienia i umartwienia wzięły też udział kobiety.

Św. Synkletyka z licznem gronem anachoretów, które modliły się i wełnę przędły, zamieszkiwała pieczary grobowcowe około Aleksandryi; św. Makryna, siostra Bazylego, nieopodal jego ławry, założyła monastyr kobiecy; Bazylianki rozkrzewiały się równie szybko, jak Bazylianie.

Niedługo potem to upodobanie w samotnem uświętobliwianiu się przeszczepiło się do Europy. W VI-ym wieku św. Benedykt z Nursyi ułożył dla swego klasztoru na Monte-Cassino ustawę, którą rzadziły się następnie tysiące domów zakonnych, rozproszonych po całej Europie. I znów nie omieszkały kobiety skorzyszczać z zostawionej im w tym względzie swobody, a gdy siostra Benedykta, św. Scholastyka, niedaleko Kassynu założyła klasztor żeński, wnet po wszystkich krajach poczęły się mnożyć zgromadzenia Benedyktynek.

Około wieku X-go już ścisła sieć domów zakonnych oplatała tę część kuli ziemskiej, którą wówczas zwano całym światem, a najgęściej ich było w Europie Zachodniej, w pobliżu osad, we wnętrzu grodów, w środowiskach ludnych i gwarnych wyrastały obwiedzione wysokim murem gniazda ciszy i spokoju promieniające naokół apostołstwem wiary i cnoty. W głuchych ostępach, w dzikich kniejach, wśród mokradeł puszczy, lub kamienisk pustyni strzelały ku górze smukłe wieżycy z rozgłosnym dzwonkiem, pod niemi rozsiadały się domy cichego skupienia, szepczące wewnętrznem życiem, niby ule pszczele, a dokoła nich rozkwitały na płonnem pustkowiu oazy uprawnej roli z łąkami zbóż, sadami i ogrodami. Pierwsze i drugie pielęgnowały dzieciństwo i niedołęztwo, wykorzeniały nędzę i ciemnotę, były osią ówczesnej kultury i filantropii.

Gdy tak na Zachodzie klasztory przybrały odrazu kierunek przeważnie praktyczny, ekonomicznie produkcyjny, czynny i ruchliwy, monastery Wschodu utrzymały się nadal w charakterze specjalnie ascetycznym, od szerszej akcyi zewnętrznej oderwanym. Wprawdzie podstawową racją bytu wszystkich na ogół zakonów była przedewszystkiem metafizyczna zasada: chwala Boża przez odosobnienie ducha od spraw ziemskich dla ponurzenia go w kontemplacji rzeczy nadziemskich stanowiła zawsze i wszędzie właściwe jądro życia Bogu poświęconego; ale gdy w nowych krainach Zachodu zewnątrz tego jądra — nie trawiając go, — lecz karmiąc się z niego — narastały warstwy pochodnych celów i zadań, dążących do akcyi wspomagającej praktycznie bliźniego, na starym Wschodzie jądro to dawało wzrost przeważnie tylko mistycznym kwiatom, produkującym jedynie dobra duchowej natury. Kontemplacyjność budzi zwykle żywe protesty. A jednak ludzie, którzy nie dawali światu nic więcej, prócz modlitwy za grzechy świata, byli szczerze przeświadczeni o swej użyteczności społecznej. Aby ich zno-

umieć, trzeba wniknąć w ich usposobienie i sumiennie zgłębić ich pojęcia.

Każdy, kto nie bezmyślnie w pewien sposób postępuje, wyprowadza postępowanie swoje z jakiejś podstawowej zasady. Podstawową zasadą w omawianym razie było niezachwiane przekonanie, że ziemską doczesność jest nominalną tylko wartością, zaś bytem realnie i nieskończenie wartościowym może być jedynie wieczność, czyli przyszłe spojenie się na zawsze duchowego pierwiastka istoty ludzkiej z wszechistością Bożką. Rozumie się, że z takiej przesłanki musiała konsekwentnie wypływać żarliwa dbałość o to dobro pozytywne, z pogardliwym zaniechaniem tamtych dóbr fikcyjnych; uwzględniając ostatnie o tyle tylko, o ile one pomódz mogły do wypełnienia jedyne go celu doczesnej egzystencji t. j. doprowadzenia własnej istoty do stanu doskonałości, czyniącej ją godną złączyć się z istnością najdoskonalszą.

Lecz cóż to jest doskonałość?...

Jest to wydarcie się z ciasnego „ja“ dla świętego zespołu z najszerzej pojętem „my“; jest to pognębienie samolubstwa miłością, jest to pełnienie dzieła bezwzględnej sprawiedliwości przez pozyskiwanie dla Boga wszystkiego, co Bożem być winno — a więc duszy własnej i duszy bliźniego.

Podczas gdy tę duszę bliźnią, nieraz tak oporną, pociągał ku Bogu ekspansywny Zachodowiec wszelkimi dobroczynnymi środkami, czyniąc miłosierdzie ciału bliźniego, jego umysłowi, wszelkim jego potrzebom, niewołając go dla nieba, rzec można — „papką i czapką, solą i rolą“, skupiony Wschodowiec zastępował swoim podniesieniem serca jego obojętność, wynagradzał swoim uduchowieniem jego zmateryalizowanie, dopełniał ezcją swoją miary należnych Bogu danin, i wierzył mocno, że jego modlitwa zatrzymuje miecz sprawiedliwości bożkiej nad głową tych, którzy się nie modlą. Rozległe to pojęcie duchowej solidarności całego człowieczeństwa, to głębokie wniknięcie w myśl Twórcy, chcącego mieć ludzkość milionowo-jedną, jak Sam jest trój-jedyny, stanowi właśnie ów rdzeń wewnętrznego poczucia dusz kontemplacyjnych, z którego wypływa całe ich usposobienie i postępowanie.

Sens takiego nastroju silnie odczuwa wielki altruista Lew Tołstoj, gdy w jednej ze swoich buddyjsko-chrześcijańskich mikstur ku uzdrowotnieniu ludzkości opisuje stan duszy bramina, który za jeden akt ciasnego samolubstwa oczyszczał się przez długie lata umartwień, i jeszcze po śmierci musiał iść do miejsca pokuty, aby dopełniać swego udoskonalenia przez zupełne wyrzeczenie się siebie i do szczętnie zespolenie się z powszechnością ogólnoludzką. A gdy już mniemał się być godnym zlania swego bytu z nieskończonym prabytem, rzucano mu z wysoka do pokutniczej otchłani nitkę pajęczyny. Duch bramina chwycił się jej chciwie i począł wdrapywać się na wysokość; ale im bardziej zbliżał się ku szczytowi, tem większą czuł ciężkość i tem bardziej pod ciężarem naprężała się myśl pajęcza. Zadrżał, — aby nie prysła, i zdziwiony coraz zwiększającą się wagą, oglądał się w dół, na już przebytą drogę — a tam pod nim, niby paciorki na nitkę nawleczone, pouczeniały się

inne dusze pokutnicze, towarzyszyki jego z otchłani — i gramolą się rozpaczliwie coraz to liczniejszym tłumem, a wąła nie napręża się coraz bardziej, coraz bardziej... W nagłym przerażeniu duch bramina wyteżył się — i pierwszą pod sobą duszę pchnął z całej siły, chcąc otrząsnąć nitkę z nanizanego na nią ciężaru i krzyknął z przekonaniem: „Precz! ta pajęczyna moja!...“ *Moja* — nie *nasza*?... zabrzmiął głos z góry; więc precz i ty z niemi razem! I prysła pajęczyna, a duch bramina runął w otchłań.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jan Łada.

PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

W ogóle zachowanie się Greków uprzedza dla nich bardzo korzystnie, zwłaszcza, gdy się przybywa z Włoch. Są oni nader uprzejmi, a wcale nie natrętni; zachęcają do kupna ale nie narzucają się z towarem, nie mają nic z tej nałazliwej i grubiańskiej ciekawości, jaka prześladowe turystę we Włoszech i nie daje mu wytchnienia, gorzej od roju uprzykrzonych much i komarów. Podróżny, któremu w Wenecyi, Neapolu i Palermo, nie da przejść dwóch kroków po ulicy obskakująca go w jednej chwili gromada uliczników, facchinów, dorożkarzy, przekupniów i kwiaciarek, przechodzi po całej Grecyi spokojny, niezaczepiany przez nikogo, spotykając się nieodmiennie z uprzejmą gotowością do objaśnień i wskazówek i to bez żądania bezzwłocznego *buona mana*, jak to się dzieje we Włoszech. Oszukiwać Grecy oszukują i nawet bardzo porządnie, ale zamiast to czynić bezczelnie i napaśtliwie, jak we Włoszech, spełniają tę powinność dobrego kupca w sposób uprzejmy, przyzwoity, z wielką dla oszukiwanego grzecznością, a bez płaszczenia się i z poczuciem godności osobistej. Wobec cudzoziemców zaś między Włochami i Grekami jest jeszcze ta różnica, że pierwsi uważają ich po prostu za przynależną sobie zdobycz, za żer przeznaczone do żywienia się nim po kawałku, podczas gdy Grecy traktują obcych jako gości, którym się z urzędu należy od miejscowych pierwsze miejsce, gościnność i pomoc, a dopiero w drugim rzędzie następuje poczucie prawa do ich sakiewek.

Na głównej ulicy, jak na wszystkich innych, spotykam parę cerkwi, których miasto Korfu liczy co najmniej pięćdziesiąt. Wszystkie bez wyjątku, a raczej z jedynym wyjątkiem wspomnianej cerkwi garnizonowej, wzniesionej przez Anglików, są one bardzo szczupłe i niepokazne, a zbudowane, rzecz charakterystyczna, zupełnie w stylu włoskich mniejszych kościołów. Bizantyńskich form stylowych niema w nich ani śladu, a nawet i tak ściśle gdzieindziej przestrzegane tradycje kościoła wschodniego pozostają tu w zapomnieniu. Kościół grecki na Korfu przedstawia się niezmiennie jako niski, podłużny czworo-

bok z gładkimi ścianami, pozbawionemi ozdób i z tym niezmiennie banalnym, niby renesansowym frontonem, jaki cechuje filialne włoskie kościoły. Z boku przyczepiona jest całkiem na włoski sposób, charakterystyczna sygnaturka z płasko skrzyżowanym daszkiem, albo też strzela w górę wysoki, smukły czworokątny *campanile* z romańskorenesansową ornamentacją, zupełnie taki, jaki spotyka się przy wiejskich kościołach na wenecko-lombardzkich równiach lub pagórkach Toskanii. Wnętrze świątyni czasem tak małe, że ledwie kilka dziesiątków osób może pomieścić, robi zwykle przyjemne wrażenie niespodziewaną tutaj czystością i porządkiem utrzymaniem. Jest to zupełnie salonik cały, wymalowany dokoła, nieraz świecący od złocień. Lśniący metalowymi ozdobami, srebrnem okryciem obrazów i massywnymi posrebrzanymi lichtarzami ikonostas, wywiera malownicze wrażenie w półmroku mało oświetlonej świątyni.

Pierwszą, którą widziałem, otworzył mi uprzejmie stojący we drzwiach duchowny we wspaniałej rassic o szerokich rękawach, w wysokim czarnym kołpaku, jaki noszą na głowie greccy kapłani na Wschodzie, z piękną siwą brodą biblijnego patriarchy. Łamaną włoszczyzną objaśnia mnie, że kościół poświęcony jest cześci św. Antoniego, którego obraz, uważany za cudowny, otaczają liczne wota. Przed ołtarzem pali się dniem i nocą srebrna lampa (jak u katolików, dodaje z zadowoleniem „kaluger“), przypuszczam jednak, że nie jest to wcale objaw eucharystycznego kultu, którego, niestety, cerkiew wschodnia nie zna, i że to raczej jakaś pobożna fundacja ku cześci miejscowego patrona. O parę kroków w bok, wąską, poprzeczną uliczką dostaje się do głównej cerkwi miasta, do św. Spirydona. Nie jest to katedra. Ta ostatnia, przy której mieszka grecki arcybiskup, znajduje się opodal ztąd po nad Mariną, z którą ją łączą wysokie, pogruchotane i chwastem zarosłe schody, a mały ten opuszczony i wielce ubogi przybytek, wcale nie odpowiada powadze metropolii i od innych cerkwi różni się chyba brudem i zaniedbaniem. Za to cerkiew św. Spirydona, choć na zewnątrz, jak wszystkie inne, wcale nie obiecująca, wewnątrz wygląda ładnie. Otaczają ją ozdobne boazerie, a przed ikonostasem stoją ogromne, bogate kandelabry srebrne i wiszą ciężkie, metalowe lampy, między którymi jedna z lanego srebra, dar weneckiego senatu dla patrona wyspy, na pamiątkę świetnego zwycięstwa, odniesionego w początku zeszłego wieku nad Turkami przez generała Signorii Schulenburga z emblematami wojennymi w stylu barokowym i napisem: „Ob Coreyram liberatam.“ Obok ołtarza w małej kapliczce, oświetlonej tajemniczym półświatłem kolorowych lampek i gromnic, w kosztownej, srebrnej trumnie spoczywa ciało męczennika i wyznawcy z czasów Dyoklecjanowych, następnie jednego z Ojców soboru nicejskiego, arcybiskupa Spirydona. Ciało to wraz z innymi świętościami i skarbami ukryte przez Greków po upadku Konstantynopola, przywiezione zostało następnie na Korfu i złożone pod opieką weneckiej republiki.

Św. Spirydion jest patronem wyspy i cie-

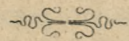
szy się szczególną czcią i zaufaniem wszystkich jej mieszkańców, bez różnicy wyznania. Przynajmniej połowa Korfiotów otrzymuje na chrzcie, bodaj na drugim miejscu jego imię; nawet i katolicy stosują się do tego zwyczaju, a najznakomitszy z arcybiskupów katolickich w Korfu w bieżącym stuleciu, ks. Maddalena, nosił również imię Spirydona. Trzy razy do roku trumna świętego obnoszona bywa po całym mieście w uroczystej procesji, przy zbiegowisku ludności z całej wyspy i oryginalnych ceremoniach, nie mających, co prawda, wiele religijnego charakteru. Na procesję tę przybywają pielgrzymi i ciekawi nie tylko z całej wyspy Korfu, ale i z innych wysp, nawet aż z Zante, a także ze stałego lądu, z Epiru i Albanii. Różnobarwność i bogactwo strojów wytwarza malowniczą mozaikę, podobnie jak i mieszanina różnorodnych typów w tym kalejdoskopie ras, jakim jest cały Wschód, a więc i Joński archipelag. Krzyżują się tu języki Wschodu i Europy, a każdy z obecnych w swój odrębny, charakterystyczny sposób okazuje swą pobożność i wesołość. Jedna z drugą łączy się tu ściśle. Bez petard, wystrzałów, wrasku, śmiechu, niema tu cerkiewnej uroczystości, a kiedy chór pobożnych idących za procesją, zaczęnie wrzeszczyć *Kyrie elejson*, możnaby pomyśleć, że to gromada ulicznych urwiszów biegnie rozbijać i rabować sklepy żydowskie dla uczczenia świąt Wielkanocnych.

Nie tylko jednak podczas uroczystych procesji Korfioci okazują na swój sposób oczywiście, pobożność dla św. Spirydona: trumna z jego szczątkami jest przez rok cały i każdego dnia w roku przedmiotem ich czci nieustannej. Kiedykolwiek się przyjdzie do cerkwi, zawsze spotyka się gromadki ludzi wszystkich stanów, wchodzących do świątyni na to, aby podejść do trumny, ucałować ją i przeżegnawszy się, a czasem zapaliwszy świeczkę, wyjść drugimi drzwiami. Uderzyło mnie to jednak, że nikogo w tym tłumie nie widziałem modlącego się: każdy przechodził przez cerkiew, jak przez bazar lub rynek. W ogóle bywając często w Grecji w cerkwiach, miałem zawsze wrażenie, że lud zachowuje się, z wyjątkiem nadzwyczajnych okazji, jak procesji albo wielkopiątkowego sypania kwiatów na grób Zbawiciela, dość przyzwoicie, ale zawsze zupełnie biernie, przysłuchując się nabożeństwu, nie biorąc jednak w niem udziału. Co kraj, to obyczaj. Trudno o obyczaj mniej właściwy od włoskiego nabożeństwa, a ściślej mówiąc, od sposobu, w jaki Włosi pojmują nabożeństwo, i w jaki zachowują się w kościele. Nie da się zaprzeczyć, że zachowanie to o wiele jest gorsze, od zachowania Greków, którzy w ogóle mają daleko więcej poczucia przyzwoitości od Włochów, a jednak w gruncie, zdaje mi się, że wolę Włocha, rozpierającego się podczas Mszy na dwóch krzesłach, spluwającego na kościół i rozmawiającego głośno z sąsiadem, bo w antraktach rozmowy, spluwania i gapienia się, Włoch przecież zmówi modlitwę, Grek zaś ogranicza się do słuchania, jak ją przy ołtarzu śpiewają inni.

Nie chcę jednak przez to powiedzieć, jakoby lud tutaj nie był religijny: jest on nim, tak samo, jak jest nim w reszcie Grecji i na

całym Wschodzie. Tylko sposób okazywania tej pobożności jest dla nas, ludzi Północy dziwny i niewątpliwie bardzo niedoskonały. Aż żal przejmuję patrząc na tych biednych ludzi, których nikt nie nauczył tego, co jest największą pociechą i dźwignią człowieka na ziemi: rozmowy ze Stwórcą.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Marya Łopuszańska.

OBRAZY

Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



X.

Branki Aleksandra Wielkiego.

Wojsko Dariusza Rodomanesa było rozproszone; on sam uszedł z pola boju, pozostawiając na niem swój wóz wojenny, łuk, tarczę, oraz obóz wspaniały, w którym znajdowała się jego rodzina, składająca się z matki, królowej Sizygambis, żony i córki.

Matka królewska była niewiastą, która w życiu swem doświadczyła już wielu nieszczęść. Jej ojciec, mąż, oraz bracia polegli niegdyś z morderczej dłoni, obecnie zaś syn, pokonany przez młodego i szczęśliwego zwycięzcę z pod Issus, uciekał, jak nędzny zbieg, pozostawiając rodzinę jako zdobycz wojenną w ręku Aleksandra, który zapewne nie zaniebada skorzystać z praw swoich. Ileż to razy żony i córki królów zwyciężonych, jeśli tylko same sobie dobrowolnie życia nie skróciły, stawały się łupem zwycięzcy, który mocen był postąpić z nimi według woli: młode i piękne pomnażały liczbę jego nałożnic, starsze skazane były na nędzę i poniewierkę. Sizygambis zносиła dotychczas wszystkie nieszczęścia mężnem sercem; teraz pocieszała ją myśl, iż życie jej było bliższem końca, niż początku, a zresztą w ostatecznym razie, zdobyłaby się na tyle siły, aby przeciąć bieg jego, gdyby stało się zbyt ciężkiem; lecz bardziej niepokoił ją los synowej. Królowa Statira słynęła jako jedna z najpiękniejszych kobiet w Persyi; czyż podobna więc wobec tego, aby zwycięzca nie skorzystał ze swego prawa? Samobójstwo nawet nie mogło uchronić jej przed zniewagą. Statira bowiem miała zostać matką; nie miała więc prawa odbierać sobie życia. Jedyną nadzieją była możliwa odwłoka, w ciągu której Dariusz mógłby powrócić jako zwycięzca, aby je wyswobodzić lub też wykupić z niewoli. Może do tego czasu zwycięzca uszanuje żonę i córkę nieszczęśliwego, pokonanego króla. Sizygambis postanowiła błagać go o to, bo wiedziała, jak syn jej miłował swą cudną małżonkę i wyobrażała sobie, jak teraz serce jego pożera niepokój co do jej losu, bo nad wszelkie klejnoty swego skarbcza cenił Statirę.

— Młody jest, — mówiła do siebie Sizygambis, myśląc o Aleksandrze, — zapewne ma jeszcze matkę; zakłnę go więc w jej imieniu

aby uszanował nieszczęsne branki królewskie. Może serce jego się wzruszy...

Ponura cisza zaległa namiot, kędy rodzina Daryusza z niepokojem oczekiwała swego losu; od czasu do czasu tylko słyhać było łkanie którejś z niewiast służebnych, klęczących u stóp obu królowych na rozesłanym kobiercu.

Nagle uchyliła się bogata zasłona namiotu i wszedł jeden z dowódców macedońskich; pochyliwszy się nisko przed matką i żoną Daryusza, oznajmił im, że Aleksander pragnie ich odwiedzić.

— Czekamy nań, — odparła Sizygambis z godnością.

Po chwili u wejścia stanęło dwóch mężów. Jeden z nich wspaniale odziany, w błyszczącej zbroi, wysoki i okazały, odrazu zwrócił na siebie uwagę Sizygambis, która pewną będąc, że ma przed sobą Aleksandra, zbliżyła się doń i padła przed nim na kolana. Statira zaś nie poszła wcale za jej przykładem, lecz dziwnym jakimś przeczuciem wiedzioną, uklękła przed jego towarzyszem, wznosząc ku niemu swoje cudne oczy. W tej kornej postawie tyle było godności, ruchu, z którym podeszła, miał w sobie tak coś królewskiego, że nakazywał mimowolny szacunek.

Sizygambis dopiero przekonała się o swej omyłce, gdy mąż, przed którym uklękła, cofnął się zmieszany i wyszedł z namiotu. Wówczas rzekła, pochylając czoło przed Aleksandrem:

— Przebacz panie moją omyłkę. Oczy wypłakałam nad nieszczęściami mej rodziny; nie dziw przeto, że nie umiałam rozróżnić pana od sługi...

— Nie omyliłaś się pani; Hefestyon jest również Aleksandrem, — odparł zwycięzca z uśmiechem, który uczynił jego oblicze podobnem do oblicza boga słońca. Poczem spojrział na klęczącą u stóp swoich Statirę i nie mógł ukryć zachwytu nad jej nieporównaną urodą.

Lecz przedewszystkiem wielkie jego serce uderzyło współczuciem dla tej królewskiej niedoli; jedną tedy ręką podniósł Statirę, drugą podał Sizygambis, poczem rzekł z prostotą:

— Jako czczę matkę moją, taką samą czczę ciebie chcę otaczać, pani. Ty zaś, — dodał do Statiry, — będziesz mi tak świętą, jak siostra własna...

Gdy słów tych domawiał, płomień przemknął przez jego oblicze. Widać było, że szlachetny uczeń Arystotelesa odniósł trudne zwycięstwo nad sobą samym, gdyż Statira była tak cudną z owym wyrazem błagania w oczach, które jednocześnie zdawały się rozkazywać, że uczuł zawrót głowy, gdy na nią patrzył. Rozumiejąc dobrze niebezpieczeństwo dłuższego przebywania w namiocie, pożegnał obie królowe, zapewniwszy je wpraw, że nie będzie zmienionem w ich dotychczasowem życiu.

Za progiem czekał na niego Hefestyon, na którego ramieniu oparł się, bo rana, odniesiona w bitwie pod Issus z ręki samego Daryusza, jeszcze dawała mu się uczuć.

— Czy wiesz, przyjacielu, — rzekł po chwili, — jaka myśl powstała nagle w mej głowie? Oto sądziłem dotychczas, że piękno jest jedynym z największych darów, jaki bogowie

zesłali śmiertelnikom, i że nigdy nie może go być za wiele na świecie...

— A czy teraz inaczej myślisz? — spytał Hefestyon.

— Tak — sędzę, że zbytek piękna może przynieść szkodę ludziom...

— Cóż ci nasunęło myśl podobną? Czyżby Aleksander naprawdę chciał zostać Dyogenesem, który gardzi pięknem?

— Nie, — lecz widok żony Daryusza skłonił mnie do tych uwag...

— O bogowie! Więc to ona uczyniła cię wrogiem piękna?

— Żle mnie zrozumiałeś. Chciałem powiedzieć, że ona jest zbyt piękną — gdyż uroda jej olśniewa i sprawia zawrót głowy... Nie chcę jej widzieć więcej...

— O, biedny zwycięzco z pod Issus! — zawołał, śmiejąc się, Hefestyon. — Więc się jej obawiasz, ty, który nie znasz trwogi?

— Boję się, ale tylko samego siebie, Hefestynie, — rzekł Aleksander poważnie. — Wiem teraz, że stokroć łatwiej zwyciężyć wojsko Daryusza, niż pokonać siebie i własne namiętności.

Hefestyon umilkł, gdy spostrzegł na obliczu Aleksandra ów znany sobie wyraz, który nie dopuszczał dłuższych żartów przyjacielskich.

* * *

Po wyjściu Aleksandra, Sizygambis wzniosła ręce w górę i rzekła w uniesieniu:

— O wy wszystkie dobre duchy, bądźcie mu przyjazne! chroncie go od złych przygód! Oto zstąpił tu do nas, jako sam bóg Mithra, dobroczynnem światłem darzący ludzi! Serce moje napełniło się słodyczą, gdym słuchała słów wspaniałych, które z ust jego padały!

— Niech pokój i błogosławieństwo bogów spoczywa nad nim! — rzekła słodkim głosem Statira.

— Dziwne jednak, żeś ty od razu poznała, który z nich jest Aleksander, — rzekła po chwili Sizygambis. — Ja zaś zrazu oszukana byłam świetną zbroją tamtego...

— O matko, jakżeś mogła tak się omylić? Czyż nie spostrzegłaś tego bożkiego ognia, który może świecić tylko w oczach Aleksandra? O, jam go od razu odgadła! — zawołała Statira, — lecz natychmiast umilkła, jak gdyby wstydząc się swojego zapału.

— Prawdę rzekłaś, — odparła Sizygambis. — Tylko wielki bohater może mieć wzrok taki! Ale niestety, moje stare oczy nie odrazu mogły to dostrzedz...

I długo jeszcze mówiła królowa Sizygambis o swojej omyłce, o dziwnem przeczuciu Statiry i o wspaniałomyślności Aleksandra, lecz Statira milczała.

Następnych dni było to samo. Nigdy już Statira ani słówkiem nie ozwała się o Aleksandrze, aż wreszcie zwróciło to uwagę Sizygambis.

Rzekła tedy do niej:

— Czemu usta twoje milczą, gdy głoszę pochwały dla naszego wspaniałego zwycięzcy? Czyż byłabyś niewdzięczną? Wszak większą, niż kto inny winnaś mu podziękę, że uszanował w tobie małżonkę królewską, zamiast cię uważać za prostą zdobycz wojenną...

— O moja matko, — odparła Statira, — serce moje pełne jest wdzięczności, ale czyż przy-

stoi małżonce zwyciężonego głosić pochwały dla zwycięzcy?

— A ja, czyż nie jestem matką Daryusza? A Daryusz sam, skoro się dowie, jakiego obojścia doznał, czy sądzisz, że nie będzie słać wspaniałomyślności Aleksandra?

Statira milczała, a Sizygambis biorąc to za oznakę niewdzięczności, nie przestawała czynić jej wyrzutów, których synowa wysłuchiwała cierpliwie, lecz postępowania swego nie zmieniała wcale.

Aleksander odwiedzał nieraz królową Sizygambis, lecz jakby na skutek milczącej umowy wzajemnej, unikał spotkania ze Statirą, a ona wzajem unikała jego.

Na dworze mówiono, że gdy przy uczcie raz Kraterus poczał unosić się nad urodą żony Daryusza, Aleksander przerwał mu, mówiąc, że nie chce o tem słyszeć. Nigdy też sam nie wspominał jej imienia, jak gdyby chciał zapomnieć o jej istnieniu. Statira wiedziała o tem jego zachowaniu się i była mu za nie wdzięczną.

Niebawem Aleksander wyruszył na nowe wyprawy: do Egiptu i do Arabii; następnie szturmem zdobywał Tyr i Gazę. Podczas tych wypraw narażał się często, to też do Damaszku, gdzie się znajdowała rodzina Daryusza, doszła nagle wiadomość, że w czasie zdobywania Gazy został zabity pociskiem z katapulty. Królowa Sizygambis usłyszawszy to, poczęła wyrzekać głośno, Statira zaś nie wydała żadnego jęku, lecz zbladła tak, jak gdyby sama trafiona była pociskiem w serce i długi czas nie mogła przemówić ani słowa.

Wkrótce jednak nadeszła wiadomość pocieszająca, że Aleksander powraca szczęśliwie na czele swego zwycięzkiego wojska, otrzymawszy tylko lekką ranę podczas szturmów do Gazy. Za powrotem odwiedził Sizygambis, która powitała go jak syna, i dowiedział się, że Statira była chorą w skutek wzruszenia z powodu zasłyszanej wieści o jego śmierci.

Wiadomość ta wstrząsnęła nim do głębi, — chwilami zdawało się, że opanowuje go szaleństwo i gotów był biedz do niej i pochwycić w objęcia, jak swoją, — gdy nazajutrz zjawił się jeden z najbliższych dworzan, zostających przy boku Statiry, z prośbą od królowej, by zechciał się z nią widzieć.

Dziwnem ogarnięty wzruszeniem, udał się Aleksander do komnat żony Daryusza, której nie widział wcale od czasu pierwszego spotkania. Krew tętniła mu w skroniach, serce biło gwałtownie.

Siedziała okryta zasłoną — gdy wszedł, podniosła się z trudem i stanęła przed nim w postawie, w której łączyła się pokora ze szlachetną godnością. Odsunęła ruchem wolnym zasłonę z twarzy i wówczas ujrzał, że to cudne niegdyś oblicze zbladło i zmieniło się do niepoznania. Cała postać królowej, niegdyś tak kształtna, dziś utraciła swój wdzięk i lekkość, zdradzając w każdym poruszeniu przykry wysiłek.

Spojrząwszy na nią, Aleksander, zamiast dawniejszego zachwytu, doznał teraz jedynie uczucia litości; ona też to odrazu odczuła i smutny uśmiech okolił jej usta.

— Panie, zapragnęłam cię widzieć, zanim umrę, — rzekła owym jej tylko właściwym

głosem, w którym łagodne dźwięki zdawały się łączyć z rozkazem.— Czuję bowiem, że umrę niedługo...

— Nie umrzesz, Statio, chcę, abys żyła! — przerwał, wzruszony jej mową.

— Wiem, że umrę — odrzekła z rezygnacją, — i dlatego wezwałam cię, panie. Dziś już nie straszno mi spotkać się z tobą, — dodała ze smutnym uśmiechem, — nie jestem już dawną Statirą, więc żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi... Chcę ci podziękować, żeś uszanował we mnie małżonkę tego, nad którym bogowie dali ci zwycięstwo... Ty masz sławę, potęgę, młodość, geniusz, — on wkrótce może nie już posiadać nie będzie, słuszną zatem, aby mu choć ta jedyna pociecha pozostała w życiu... Wszak prawda, panie? Tyś szlachetny, tyś to zrozumiał... dzięki ci za to! Oto już niedługo odejdę z tej ziemi... chciałabym, abys w nagrodę za twą szlachetność, posiadał inną Statirę, młodszą, piękniejszą, jak piękniejszy jest kwiat tylko co rozwity od tego, który robak wewnątrz już toczy.

To rzekłszy, wyszła; — po chwili powróciła wiodąc za rękę córkę swą, młodzianką Statirę, która była podobną do matki, tak jak pączek jest podobny do kwiatu, wyrosłego na jednym krzaku różanym. Zarumienione dziewczę kryło twarz na piersi matczynej — królowa zaś rzekła głosem wzruszonym, patrząc oczyma łez pełnymi w oblicze Aleksandra.

— Weź ją z rąk moich i miłuj — jest dobra, słodka i kochająca. Gdy bogi dadzą ci zwycięstwo nad jej ojcem, bądź dla niego tak wspaniałomyślnym, jak byłeś dla nas... A jeśli... jeśli kiedy twoja wielka dusza spocznie, jak orzeł w słońcu, po licznych zwycięstwach i zatęskni za ciszą i spokojem... wspomnij wtenczas o tej dawnej Statirze, która będzie już tam, kędy wieczna cisza panuje...

— Będę pamiętał wiecznie o tobie, Statio, gdyż większego nad twoje serce nie spotkałem w mem życiu! — zawołał Aleksander wzruszony.

Przecucia Statiry nie były mylne; umarła, nie mogąc znieść szybkiego pochodu do Assyrii, kędy Aleksander podążył na spotkanie Daryusza. Trudy podróży okazały się dla niej zabójczymi i spowodowały śmierć nagłą. Aleksander wstrzymał swój pochód i rozkazał urządzić wspaniały pogrzeb, w którym sam uczestniczył i okazał tyle żalu, że znaleźli się ludzie, którzy zaczęli podejrzewać czystość stosunków, łączących go ze zmarłą królową. Podejrzenia te doszły nawet do Daryusza, lecz zostały rozproszone przez wiernego dworzanina Statiry, który jej nie odstępował podczas pobytu w niewoli.

— O bogowie! — zawołał Daryusz, — błagam was o zwycięstwo dlatego, abym mógł przewyższyć Aleksandra we wspaniałomyślności; ale jeśli padnę, nie dopuście, aby kto inny niż on, zasiadł na tronie Cyrusa! Król Persów nie wstydzi się być pokonanym przez takiego przeciwnika!

Sizygambis żyła jeszcze aż do chwili śmierci Aleksandra. Ona, która przeżyła śmierć tylu swoich bliskich, w końcu wreszcie śmierć Daryusza, — nie mogła przeżyć śmierci bohatera macedońskiego.

— Straciłam ostatniego syna! — powtarzała. — Któż mi powróci Aleksandra!

Zamknawszy się w swej komnacie, nie chciała przyjmować pokarmu i umarła z bólesci.

Córka Statiry poślubiona była uroczyscie przez Aleksandra, podczas gdy siostra jej Dripetis, została małżonką Hefestyna, wśród wspaniałych obchodów, wydanych aby uczcić chwilę połączenia Azji z Europą przez małżeństwo stu perskich dziewcząt ze stu młodzieńcami greckimi. W ten to sposób Aleksander w dziejach ludzkości zabłysnął nie tylko jako zdobywca, lecz także jako pierwszy szerzyciel idei zbliżenia się narodów, co dotychczas zupełnie nie było znanym współczesnym ludom. On pierwszy przestał widzieć barbarzyńców i niewolników w ludach zwyciężonych, i to go czyni wyższym nad innych zdobywców starożytności.

Po śmierci Aleksandra smutny koniec spotkał młodą małżonkę jego, Statirę. Zazdrosna Roksana zamordowała ją w obawie, aby nie wydała na świat potomka, któryby się stał współzawodnikiem jej własnego syna do tronu macedońskiego.

Tak wygasła rodzina Daryusza, króla królów.



Wychowanie dziecka głuchoniemego i ciemnego.



Głuchoniemy nauczony mówić, nie jest zjawiskiem często spotykanym nawet w zakładach specjalnie dla tych nieszczęśliwych przeznaczonych. Lecz jeżeli z głuchotą łączy się bezwzględna ślepotą, nauczanie czegokolwiek takiego biedaka, wydaje się wkraczającym już w dziedzinę cudów. A jednak dopełniono tego cudu z dziewczynką amerykańską, miss Heleną Keller, dzisiaj dwadzieścia trzy lata liczącą.

Choć nie była głuchą ani ciemną od urodzenia, straciła jednak wzrok i słuch w bardzo wczesnym wieku, kiedy żadne dźwięki ani żadne światła nie mogły wywierać na jej mózg wrażenia. Niemordowanej cierpliwości swoich wychowawców, a szczególnie poświęceniu wyłącznej nauczycielki, panny Sullivan, oraz własnej inteligencji i wytrwałości zawdzięcza, że wydobyla się z niewoli wieczystego milczenia i nocy wieczystej.

Helena Keller nie widzi, nie słyszy, a nie jest odosobniona od ludzkości całej: zbliżając lekko palec do ust osób z którymi rozmawia, chwytając wyrazy; przy pomocy palców czyta książki, umyślnie drukowane wypukłymi literami, wszystkich autorów amerykańskich i angielskich, a nie na tem jeszcze ograniczają się jej studia, oprócz bowiem języka macierzystego, zna francuski, niemiecki, geografję, arytmetykę, łacinę, czyta w tekście oryginalnym „Komentarze“ Cezara.

I nie tylko czyta, lecz pisze: nowelle jej chwalone są przez krytykę dla wytworności formy, głębi uczucia i co się wydaje prawie niemożliwym do uwierzenia — plastyki opisów. Najciekawszym z jej dzieł są pamiętniki własne pod tytułem „Dzieje mego życia“, w których Miss Keller opowiada długą i uciążliwą pracę, podjętą przy swoim wykształceniu.

„Na wiosnę 1890 r., — pisze niewidoma Miss — zaczęłam mówić. Odczuwałam zawsze jakby potrzebę wydobywania z gardła dźwięków złożonych, skróconych i niejednokrotnie wprawiałam się sama, trzymając jedną ręką gardło, drugą śledząc poruszenia warg. Wszystkie odgłosy zajmowały mnie: lubiłam kłaść rękę na grzbiecie kota, gdy miauczał, psa kiedy szczekał; lu-

biłam zbliżać delikatnie rękę do gardła osoby śpiewającej, dotykać fortepianu, na którym grało.“

Miss Keller opowiada dalej, w jaki sposób poznała się z Miss Sarą Fuller, przełożoną szkoły głuchoniemych i przedstawia sposoby przez nią stosowane:

— „Brała moją rękę, przeciągała ją po twarzy, i dawała mi odczuć położenie języka i warg, podczas kiedy wydobywała z gardła dźwięki. Z niesłychaną bacznością naśladowałam jej ruchy i po godzinie przyswoiłam sobie sześć pierwszych wymowy, *m, p, a, s, t, i*. Nie zapomnę nigdy radości, jakiej doznałam, kiedy po sześciu lekcjach panny Fuller, wymówiłam pewne zdanie: *it is warm* (gorąco jest). Wymowa moja była naturalnie bardzo wadliwą, lecz w każdym razie była mową ludzką: *mogłam być zrozumianą*. Nabrałam poczucia siły nowej, zdawało mi się, że wydobyłam się z kajdan, że te sylaby wybełkotane otwierały mi drogę wiedzy i postępu.“

Po kilku lekcjach z Miss Fuller, panna Keller przeszła pod [kierunek późniejszej swojej stałej mistrzyni, Miss Sullivan, dając dowody olbrzymiej siły woli i niesłychanej pilności.

„Jedynie profesorowie głuchych, — pisze dalej — mogą sobie zdać sprawę z trudności, jakie pokonywać musiałam. Czytając na wargach mej nauczycielki, posługiwałam się jedynie palcami: dotykaniem tylko mogło mnie obznajmić z drganiem gardła, z ruchami ust, z wyrazem twarzy; niejednokrotnie zmysł ten nie dopisywał. Powtarzałam całymi godzinami te same wyrazy, zanim doszłam do wymawiania ich poprawnie, musiałam powtarzać, powtarzać, wiecznie powtarzać...“

Zdumiona byłam, widząc, że łatwiej jest mówić, niż wyrażać się ruchami palców, i wyrzekłam się alfabetu ręcznego, jako środka wypowiadania wzajemnego myśli. Jednak Miss Sullivan i niektóre moje przyjaciółki, posługiwały się nim ze mną, ponieważ system czytania z palcami na wargach jest niedogodny i powolniejszy.

Osoby, które rozmawiały z Miss Keller, posługując się alfabetem ręcznym, trzymały swoją rękę lekko położoną na ręce niewidomej i wykonywały palcami ruchy odpowiadające zwykłemu alfabetowi; w ten sposób układała sobie wyrazy; słuchała listów, a nawet gazet.

Ciekawe są bardzo krytyki i sądy panny Keller o literaturach przez nią badanych, szczególnie o autorach francuzkich; najwięcej jednak zajmują opisy jej własnej nauki. Dzieje życia kaleki zasługują bardzo na przeczytanie; nie jest to tylko zwykłe opowiadanie ciekawe i zajmujące; jest to nauka, z której będą mogli korzystać zarówno nieszczęśliwi głuchoniemi i ciemni, jak ludzie oddani ich wychowaniu i wykształceniu. Przykład ten jest dowodem, co może zdziałać inteligencja ludzka w połączeniu z wytrwałością i poświęceniem.

W. Z.



Z obcej niwy.

(Najnowsza belletrystyka francuzka).



(Ciąg dalszy).

Od tej pory upłynęło trochę wody w Wiśle (cztery, czy pięć lat, to spory szmat czasu) i p. de Bovet z pogardą odwróciwszy się od apoteozy swobodnych obyczajów, którą popelniała w panięńskich latach, uczuła w sobie powołanie do obrony wielkich idei. Wyszedłszy za mąż i to w dodatku za markiza, musi czuć się w obowiązku obrony nierozważności małżeństwa, więc popelnia aż dwie powieści, w których tezę swą przeprowadza bardzo jaskrawie. Tymczasem jednak osiąga rezultat niespodziewany, a wręcz przeciwny, bo wbrew woli sama potępia zasadę, której

chce bronić i nie chcąc dopuścić nie tylko do rozwodu, ale choćby do separacji od stołu i łoża, sama staje się morderczynią niewygodnych małżonków.

„Autour d'un etendart“ ma być zapewne odpowiedzią na rozmaite bardzo rozgłosne, a literacko bardzo liche, modne przez jakiś czas antiwojskowe powieści rozmaitych Beyerleinów, Bilsów i innych Niemców i Francuzów.

Jest w tej powieści mnóstwo bardzo szlachetnych, bardzo rycerskich i bardzo pięknych oficerów kawalerii francuskiej. (Czy też *monsieur le marquis*, małżonek pani de Bovet nie był np. kirasyerem francuskim?) Są to niezmiernie wspaniałomyślni ludzie i dają tego dowody.

Tak na przykład, w pewnym małym miasteczku żyje pewna panna, która ma niezliczone mnóstwo rozmaitych cnót i zalet oraz niezliczone mnóstwo pieniędzy, ale ma jeden tylko błąd, że jest bardzo brzydka. Szlachetni rycerze, a raczej oficerowie od rycerzy uchwalili, że tę bardzo cnotliwą i bardzo bogatą, ale bardzo brzydką dziewczę należy uszczęśliwić najwyższym szczęściem, jakie może stać się udziałem francuskiej niewiasty, a więc należy ją wydać za francuskiego oficera i to *comme de raison* od kawalerii. Otóż w mówszy w jednego z swych kolegów, że kocha niezmiernie ową cnotliwą i brzydką pannę, żenią go z nią.

Rozpoczyna się bardzo śliczna idylla i w „małym garnizonie“ życie wszystkich tych rycerzy i ich małżonek oraz rodzin jest rajsko piękne, urocze, czyste i szczęśliwe. Ale znalazł się straszny człowiek, który to szczęście zakłóca. Jeden z oficerów bierze ślub cywilny z rozwódką i chce tę „cywilną“ żonę wprowadzić w towarzystwo swych kolegów i tychże bardzo wojowniczych małżonek.

Bardzo szlachetnych, bardzo rycerskich i bardzo pięknych oficerów przenika gniew, zgorznienie i święte oburzenie. Jednogłośnie postanawiają bojkotować cywilnie ożenionego kolegę i tegoż połowicę i postanowienie to zmieniają w czyn.

W trakcie tego uszczęśliwiona umundurowanym i szlachetnym mężem, bardzo bogata i bardzo cnotliwa i bardzo brzydka niewiasta miała czas stać się bardzo nieszczęśliwą, a w dodatku w sercu jej obudził się srogi, choć platoniczny affekt do innego mężczyzny (tylko w tej chwili ani rusz nie mogą sobie przypomnieć, czy ten „inny“ jest także oficerem, czy też nie), który podziela to platoniczne uczucie. Ale ani on, ani ona nie zdecydowały się na rozwód i oboje postanawiają nieść straszne brzemie nieszczęśliwej miłości, tając w głębi serca swoje bóle i cierpienia.

Cywilnie pobranej parze przychodzi z pomocą okrutnik i tyran, minister wojny, rozpędzając na cztery wiatry bojkotujących ją oficerów, których przenosi do rozmaitych pułków. Druga para wynagrodzoną zostaje za swą cnotę i szlachetność. Pani de Bovet zamordowuje skrytobójczo małżonka brzydkiej, cnotliwej a bogatej niewiasty, a ta swobodna i wolna uszczęśliwia teraz swą ręką platonicznego a szlachetnego kochanka.

De ce qu'un mariage a mal réussi, cela ne détruit pas le caractère sacré du mariage. W tym okropnie fatalną francuszczyzną wystylizowanym aforyzmie, włożonym w usta owej cnotliwej, brzydkiej niewiasty, wypowiada pani de Bovet tezę swej powieści.

Teza to bardzo piękna i szlachetna, oraz zupełnie prawdziwa, ale za to bardzo szlachetna powieść pani de Bovet nie jest wcale piękną jej ilustracją.

Znacznie lepszą od tej oficerskiej powieści jest druga powieść pani de Bovet: „Ame d'Argile.“

„Glinianą duszą“ jest pani Łucya de Chastel, doskonale uchwycony i oddany typ

współczesnej Paryżanki, która pragnąc stroić się, używać, otaczać się wyrafinowanym zbytkiem i komfortem, a nie mając po temu środków materyalnych, wszystko poświęca, aby te środki zdobyć. Jabłko nie daleko padło od jabłoni.

Ojciec pani Łucyi, szary sceptyk, przez całe życie dla świętego spokoju zamykał oczy na różne sprawy swej małżonki i udawał stale, że nic nie widzi. Matka postarawszy się i nie mogąc ani od męża, ani z kąd inąd wydobyć pieniędzy na swe kosztowne fantazyje, postanawia użyć po temu swej córki.

Łucya, wydana za mąż za bardzo porządnego, bardzo szlachetnego, ale bardzo naiwnego malarza, za namową matki zaczyna zdradzać męża, najpierw z bardzo bogatym finansistą, a potem z innymi. Pod bardzo eterycznym wyglądem zewnętrznym Łucya ukrywa żelazną siłę woli i bajeczny egoizm zgodzi się na wszystkie kompromisy z sumieniem, wogóle na wszystko, byle tylko mógł żyć wygodnie i w zbytku. Spotyka starca olbrzymio bogatego, daje mu się wykraść i rozwiódłszy się z mężem, wychodzi „cywilnie“ za starego jegomościa.

Koniec powieści psuje jednak wszystko. Dla chwilowego kaprysu Łucya zdradza swego drugiego męża z marnym grafomanem. Mąż chwytając *in flagranti*, strzela do kochanka, ale przypadkiem zabija swą żonę.

Ten tragiczny koniec psuje wrażenie tej wcale dobrej powieści, której główną zaletą jest trafnie i wyraziście zarysowana charakterystyka kobiecych postaci.

Wojskowa powieść p. Bovet („Autour d'un etendart“) jest właściwie odpowiedzią na powieść porucznika Charly: „Une petite garnison française.“ Francuzki Bilze jest jeszcze mniejszy od swego małego niemieckiego wzoru. Bez talentu, bez daru obserwacyjnego, bez kultury napisana powieść mija bez wrażenia. Strasznie na czarno pomalowane charaktery rozmaitych oficerów nie mają w sobie nic a nie życia, ani prawdopodobieństwa.

Za to mnóstwo życia i mnóstwo prawdy życiowej jest zawsze w powieściach Willy'ego. Napisawszy seryę nadzwyczajnie dowcipnych i wesołych, ale i nadzwyczajnie nieprzychylnych przegód Klaudyny (*Claudine à l'école, Claudine en mariage, Claudine s'en va*) napisał teraz bardzo przyzwoitą, zupełnie przyzwoitą i zupełnie moralną książkę. Jego *Minne*, mimo swą przyzwoitość, jest powieścią ciekawą.

Minna jest dziewczynką piętnastoletnią, jasnowłosą, szczupłą, wysoką. Matka jej, kobieta trochę ograniczona, strzeże swej córki, jak oka w głowie, nie puszcza jej od siebie ani na krok. A jednak dzieciak poznaje życie wielkomiejskie, z jego najgorszej, najsmutniejszej, najbrudniejszej strony. Poznaje co prawda tylko teoretycznie, studiując co dzień z wielkim zapalem *Journal* paryżki, a w tym *Journalu* dział zbrodni i wypadków.

Dziewczyna z chorobliwą egzaltacją marzyć zaczyna o poszukiwaniu i prześladowaniu przez policję „Kędzierzawym“ (*Frisé*) i — jeśli to można miłością nazwać — zakochuje się w tym nieznanym bohaterze. Wyobraża sobie, że obdarsz, którego spotyka często, idąc do szkoły i spotyka zawsze w tem samym miejscu, — to ów „kędzierzawy.“ Pewnej nocy zdaje się jej, że *Frisé* ją woła, — wstaje z łóżka, ubiera się i wykrada z domu. Idzie w zamieszkałe przez szumowiny miejskie, przez „apaszów“ dzielnice i szuka swego bohatera. Ale szczęściem nie spotyka nikogo, prócz kilku kobiet, które drwią z niej i szydzą, ale których ona wcale nie rozumie. Spotyka także pijaka, ale jednego tylko i ten jej nic nie robi. Bierze ją strach i po czterech godzinach błądzenia wśród ciemności po nieznanym jej zupełnie ulicach, instyktownie odnajduje drogę do domu. Wraci i w sieni pada zemdlona.

Rzecz napisana bardzo dowcipnie i wesoło, pobudza jednak do myślenia, a przede wszystkim

stkiem nasuwa znowu pytanie i wątpliwość, co do owej teorii „nieuświadamiania“ młodych dziewcząt...

Za to absolutnie nudna jest powieść obu braci Lebloud: „La terre a bande.“

Powieść ta osnuta jest na tle walk wyborczych do parlamentu i to w koloniach francuskich, a mianowicie na wyspie Reunion i ma być dowodem, że w trzydzieści kilka lat po udzieleniu im prawa głosowania, mulaci i czarni mieszkańcy kolonii nie dorosli jeszcze do wykonywania tych praw obywatelskich. Egzotyczność środowiska może zainteresować, ale tylko na chwilę. Widzimy białych, mulatów, czarnych, przybyszów, autochtonów, gromadzących się tłumami na ulicach, razem z żonami, dziećmi i psami, ciągnących procesjonalnie wśród wrzasków i krzyków. Za miastem zgromadzenia przedwyborcze przy napitku i obfitem pożywieniu, kończące się najczęściej wielką bijatyką. Ale najsilniejszym i najbardziej przekonującym argumentem jest pieniądź. Czarni, upojeni rumem i tafią, sprzedają swe głosy temu, który za nie więcej zapłaci. A nie czynią tego z potrzeby pieniędzy, z nędzy, ale tylko dlatego, aby mieć za co hulać i pić. Okres przedwyborczy, to dla nich okres zabawy i użycia, coś w rodzaju rzymskich Saturnali. Wreszcie, gdy mrok zapadnie cichną te gwary i hałasy, zanikają na godzin kilka te intrygi i nadużycia i handle, uspokajają się rozbudzone namiętności i nastaje spokój cudownej nocy podzwrotnikowej.

Gdyby nie piękne i doskonale dane pejzaże, powieści pp. Lebloud nawet by czytać nie warto. Ta polityczna satyra zyskałaby wiele, gdyby jej nie złączono z powieściową fabułą.

Co znaczy słowo *l'ecarteur*?

Zdaje mi się, że nawet we Francji, szczególnie północnej i środkowej, mało ktoby mi odpowiedział na to pytanie. O hiszpańskich pikadorach i toreadorach każdy wie doskonale, lecz *ecarteur*ów zna tylko Gaskonia.

Ecarteur, to bohater tak zw. *course landaise*. Na arenę wyprowadzają byka, a najczęściej krowę; *ecarteur* chwytając rozjuszona zwierzę za rogi i ponad grzbietem zwierzęcia wykonywa najrozmaitsze salta i ćwiczenia gimnastyczne. Jest to sport zupełnie nieszkodliwy dla owego byka, czy krowy, ale niebezpieczny dla gimnastyka, tem bardziej, że na arenę puszczane bywają zawsze te same zwierzęta; wiedzą one zatem, co je czeka i nabywają z czasem nadzwyczajnej chytryści w pozbywaniu się irytującego je sportsmana, który śmie używać je za przyrządy gimnastyczne.

Na tle tych *courses landaises* rozgrywa się bardzo tragiczna historia chłopska, kończąca się bratobójstwem z zazdrości. Chłopskie zwyczaje i obyczaje, tryb życia, poziom kulturalny i t. d. oddane są w bardzo czarnych kolorach. Powieść „L'ecarteur“ nieznanego mi dotychczas autora p. Delbousquet, godna jest uwagi.

Niemniej godną uwagi książkę — najlepszą może z wszystkich, o których mówię dzisiaj — napisał Adolf Retté, „Dans le forêt.“ Las, to czarodziej potężny, kryjący w sobie tajemnice i uroki wspaniałe, głębokie, budzący w duszy ludzkiej lęk i dający jej uciśnienie, przejmujący nastrojem uroczystym i poważnym, pociągający ku sobie i budzący miłość i tęsknotę. Gwarem swym i pieśnią bezustannie szemrzącą czaruje i upaja, pięknem swem podbija i zachwyca. Hymn ubielbienia i miłości dla lasu daje w książce swej Retté, ten apostoł kultu przyrody i artysta dużej miary.

W zupełnie inny świat wprowadza czytelnika Henry Rabusson „L'invisible lieu“ sarkastyczny sceptyk, dający bystro uchwycone momenty paryżkiego życia i jego konwencyonalnych kłamstw. Nagle jednak wszedł on między moralistów i w przedmowie swej powieści broni tezy, iż tak zw. „wolna miłość“ krępuje uczciwego człowieka więzami wcale nie lepszymi, niż są więzy małżeńskie. Nie

nową tę tezę Rabusson ilustruje w swej powieści.

Jegomość bojący się małżeństwa i unikający go, jak dyabeł święconej wody, nawiązuje stosunek miłosny z amerykańską słomianą wdówką, ale kapryśne usposobienie kochanki nuży go i nudzi, to też zrywa z nią czempredzej, jednak mimo to pozbyć się jej nie może. Amerykanka prześladowa go swą nienawiścią i grozi straszną zemstą. Eks-kochanek jej zapłonął tymczasem nowym afektem ku jakiejś bardzo sympatycznej śpiewaczce i zdobył niezmiernie czułą wzajemność.

I wtedy zjawia się owa amerykańska wdowa, Jago w spódnicy i zaczyna srodze trapić sympatyczną śpiewaczkę, budząc w niej zazdrość i wątpliwość, co do stałości i wierności kochanki. Ostatecznie okropnie biedna śpiewaczka, niewierzący w podszepty amerykańskie, bierze i topi się, a bohater powieści, wzruszony i stroskany straszliwie przysięga na grobie samobójczyni, że już nigdy w życiu kochać nie będzie i skrupowany „niewidzialnymi więzami“ pozostanie jej wierny do zgonu. Zapomina w tej chwili zupełnie o tem, że nieboszczka ta przysięga tyle potrzebna, co umarłemu kadzidło.

Dama kameliowa zmartwychwstała!

Okszyca.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Z Kassy kobiet.

Zarząd Kassy, uwzględniając ciężkie obecne położenie wielu pracujących, wydaje w kancelaryi Kassy (Nowy-Swiat 57), uczestnikom, które się zgłosić zechcą: herbatę, cukier i pieczywo do wyboru z piekarni A. Łapińskiego.

— Ochrona kobiet.

Warszawskie Chrześcijańskie Towarzystwo Ochrony kobiet wydało komunikat następujący:

„Jednym z pierwszych celów Towarzystwa Ochrony kobiet jest dać młodym podróżującym kobietom należyłą ochronę w podróży, aby przeciwdziałać największym bezprawiom, uprawianym przez ludzi złej woli, lub wstrętnego fachu. W tym celu Warsz. Towarzystwo Ochrony uzyskało współdziałanie kolejowej służby bezpieczeństwa i odniosło się do zarządów wszystkich kolei tutejszych o pozwolenie umieszczenia na dworcach, stacjach i w wagonach odpowiednich afiszów ostrzegających, a także pouczających, jak młoda, samotna podróżna ma radzić sobie w danym wypadku. Oprócz tego, zarządy kolei proszone są o wyznaczenie na każdym poszczególnych stacjach członków czynnych Towarzystwa, którzyby mogli zaopiekować się chwilowo młodą podróżną, ułatwiając jej następnie podróż do miejsca, dokąd podąży.

— Heidelberg. Dwa stypendya, po 500 marek każde, fundacji Eleonory Wallot, otrzymują już w tym roku dwie studentki przy uniwersytecie Heideberskim.

— Kassel. Panna Anna Feitner z Oldenburga otrzymała pierwszą nagrodę na tegorocznym wystawie urządzonej w Kassel przez zjednoczonych fotografów niemieckich.

— Szwecya. Znakomita szwedzka autorka, Selma Lagerlöf, otrzymała od Szwedzkiej Akademii wielki złoty medal.

— Portugalia. Królowa portugalska, Maria-Amalia ukończyła medyczne studia i przygotowuje się do egzaminów i rozprawy, które jej zapewnią dyplom doktora medycyny. Królowa jest z domu francuzka księżniczka.

— Japonia. Dziennik angielski „Daily

Express“ donosi z Kobe, że dyrektorka japońskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża, amerykańska lekarka, miss-doctor Anita Mac-Gee, została naczelnym lekarzem wielkiego wojskowego szpitala w Matsuzama. Panna Mac-Gee przyjechała przed niedawnym czasem do Japonii z całym sztabem młodych, ochotnych felererek i dozoreczny. Miss-doctor Mac-Gee odznaczyła się już, jako pełna poświęcenia samarytanka, podczas wojny hiszpańsko amerykańskiej.

— Australia. Naukowe odkrycie. Donoszą z Sydney, że panna Thorne, doktorka medycyny, niedawno doktoryzowana w uniwersytecie w Sydney, odkryła środek przeciw tuberkułom. Panna Thorne przesłała preparat do Anglii, w celu poddania go bliższym naukowym badaniom.

Z. S.

Kroniczka.

— Zarząd poczt i telegrafów w Warszawie otrzymał przeszło 50 podań kobiecych o posady, z których uwzględnił dotychczas 15. Widzimy zatem kobiety na nowej placówce pracy. Nie mamy tylko jeszcze listonoszek, ale i to zapewne sprawa niedalekiej przyszłości.

— Konkurs XIII-ty ogłoszony za pośrednictwem Koła architektów na budowę Szkoły handlowej w Lublinie, został w tych dniach rozstrzygnięty. Z 39-tu nadesłanych prac przyznano do nagrody następujące: pierwszą w sumie 500 rubli przyznano za projekt pod godłem „Suum cuique“ p. Henrykowi Paprockiemu, architektowi z Lublina; drugą, rubli 300, otrzymał za projekt pod godłem „Merkury A“ p. Korneli Szretter, architekt z Warszawy; trzecią w kwocie rubli 200 pp. Teofil Wiśniewski i Józef Cholewiński architektki miejscowi, za projekt pod godłem „As dur.“ Nadto zalecono do zakupu trzy projekty doskonałe opracowane po 150 rubli każdy. I-szy „Lublinensis civitatis“, II-gi „Pierścień czerwony“, III-ci „Marta.“ Kilka projektów zasłużyło na wyróżnienie ze względu na zalety kompozycji i opracowania. Projekty powyższe wystawione są na widok publiczny od dnia 28-go z. m. w salonach Retursy Obywatelskiej na Krakowskim-Przedmieściu № 64. Wejście bezpłatne.

— Wydział pracy w Warszawie założył szwalnię przy własnym lokalu, która zatrudnia kilkadziesiąt kobiet. Aby przyjść z pomocą tym kobietom, jako też innym ubogim rodzinom Wydział postanowił obecnie zaopiekować się ich dziećmi. W tym celu utworzono rodzaj sali zajęć przy szkole miejskiej pani Rybkowej, dodając jako opiekunki pp. Janinę Klawe i Julię Dickstein. Na początek szkoła zajęła 60 dzieci, które oprócz nauki i opieki moralnej otrzymują nadto i posiłek, złożony z mleka, kaszy i chleba. Dzieci te, po za zwykłymi przedmiotami uczą się tam jeszcze wyrobów włóczkowych, sznurkowych, szcztokarskich, sporządzają czapki, serdaki i t. p., i przysposabiają się do pracy zawodowej. Wyroby ich rąk, jako też produkty szwalni zostają spieniężane w specjalnie założonym sklepie przy ulicy Zgoda № 15.

Sklep „Stalej wyprzedaży wyrobów ubogich“ poleca tanie a gustowne sukienki, ubranka, fartuszki dziecinne po bardzo niskich a przystępnych cenach, np. bluzki barchanowe i kretonowe damskie od 95 kop., fartuchy dla służby od 40 kop. i t. d.

Nie trzeba dodawać, że istnienie i rozwój tej instytucji zależy jedynie od poparcia ogółu, a nasze panie i gospodynie zachęcać chyba zbytecznie, gdzie idzie o dzieło miłosierdzia, związane z dobrem publicznym.

— Obecne bezrobocie rozszerzyło się na kolej: Wiedeńska, Nadwiślańska, Łódzką odnogę, południowo-zachodnią; — banki: Dyskontowy, Handlowy, Łódzki, Azowski, Doński, H. Wawelberga, S. Natansona, S. Lessera, W. Landaua, oraz dziewięć pomniejszych, na zakłady gazowe, na tramwaje miejskie, które zawiesiły czynności. Poszczególne fabryki dochodzą do porozumienia z pracownikami. Zakłady naukowe męskie i żeńskie wyższe i średnie zawiesiły wykłady.

— Stowarzyszenie kobiece „Pomoc“ we Lwowie założyło szkołę udzielającą nauki wyrobu kapeluszy słomkowych, robót sznurkowych i guzikarskich.

— Konkurs ogłoszony w Paryżu przez redakcję „Sztuki“ na kompozycję rysunkową, zaczerpniętą z dzieł Fryderyka Chopina, został ostatecznie rozstrzygnięty. Pierwszej nagrody 750 franków nie przyznano nikomu, drugą (500 fr.) udzielono p. Gustawowi Gwozdeckiemu za utwór pod godłem „Sztuka“, trzecią (250 fr.) p. E. Nadelmanowi za pracę pod godłem „Bemol.“ Pozostała kwota 750 fr. w skutek nieprzyznania pierwszej nagrody, Redakcja postanowiła zużytkować na nowy konkurs na pracę literacką prozą lub wierszem, osnutą na temacie krajobrazu polskiego. O wyniku konkursu podamy w czasie właściwym.

— Dnia 21-go z. m. zmarł w Warszawie ś. p. Leopold Winkler, literat i pedagog, w wieku lat 72. Z prac jakie pozostawił, wymieniamy: „Gramatyka języka polskiego“, „O konfederacjach“, „Spaczona główka“, powieść. Pisywał nadto dla sceny. Zmarły był ojcem artysty teatrów warszawskich, Maryana.

— W Karkarolińsku na Syberii zakończył życie młody lekarz, ś. p. Antoni Świątecki, który padł ofiarą swego zawodu, zaraziwszy się tyfusem od pacjenta. Postępowaniem swem zjednał uznanie i sympatię wszystkich.

— W Żbikowie, pod Pruszkowem, zmarła ś. p. Julia Czarnowska, żona urzędnika kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, była kierowniczką dwuklasowej szkoły miejscowej, z której działy traci swą zabiegliwą opiekunkę.

— Dnia 23-go z. m. zmarła ś. p. Michałina z Jarockich Chodakowska, matka reżysera Opery warszawskiej, w sędziwym wieku 84 lat.

ODPOWIEDZI.

— Pani E. W. w B. — W jednym z numerów Marcewskich podamy szczegółowy przegląd nowości wiosennych, tymczasem zapewnić Szanowną Panią możemy, że „mody“ pomieszczone w „Bluszczu“, są odbiciem najnowszych, sezonowych paryskich pomysłów. Sprowadzamy je i ukazują się jednocześnie z identycznie temiż samymi, pomieszczanymi w tygodniku paryskim „La mode illustrée.“ Formy bibulkowe dajemy tylko niekiedy i to głównie przy ubiorach dziecięcych, inne formy znajdują się na tablicy krojów.

— Pani Krossowskiej w Horodyszczach. — W numerze bieżącym są dwie bluzki, bardzo odpowiednie krojem dla młodej dziewczynki. Krój, znajdujący się na tablicy krojów łatwo zmniejszyć można.

SPROSTOWANIE.

W zeszłym numerze naszego pisma wkradły się następujące omyłki: W artykule p. t. „Najpierwsza emancypantka“ na str. 96-iej w szpalcie drugiej wierszu 30-ym zamiast *Samieł*, winno być *Samael*. W artykule zaś „Z obcej niwy“ mylnie wydrukowano podpis, powinno być: *Okszyca*.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla bardzo chorej na płuca i gardło nauczycielki z matką sparaliżowaną:

„Ziarnko do ziarnka“ p. Z. S. rub. 1, Ap. Ol. kop. 10.

Treść numeru:

Jeszcze o psychologii dziecka, przez Zofię Seidlerową. — Joan. VIII, 1—12, powieść, przez Maryę Rodziewiczównę. — Wiosna sztuki (wiersz), przez Naddnieprzanina. — Dobre wychowanie: IV, przez Karolinę Szanajawską. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy). — Wychowanie dziecka głuchoniemego i ciemnego, przez W. Z. — Z obcej niwy, przez Okszyca (ciąg dalszy). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 7-my powieści „Dziennik psotnego chłopca“, w przekładzie Zofii S.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 15). — Przepisy kuchenne.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

A. Czarnowskiej w Warszawie 38 Hoża 38.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien i okryć damskich można gruntownie nauczyć się KROJU i SZYCIA. Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych, uczeni otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynię i podmistrzynię.

NOWOŚĆ!

Wzory dziurkowane do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt, składający się z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, zabki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczaliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia, na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknie, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chińszczyzna, japońszczyzna, secesja i t. d., lub fantazja).

Listy należy adresować do Administracji „Bluszczu” Nowy Świat 41, w Warszawie.

Źródłem siły dla wszystkich osłabionych,

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem. Wystrzegaj się bezwartościowych naśladowców. Broszury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski, ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

PRENUMERUJCIE

NOWOŚCI MUZYCZNE

Jedynе polskie czasopismo, poświęcone literaturze fortepianowej.

Wychodzi przy końcu miesiąca zeszytami objętości 20 str. nut i tekstu.

Treść zeszytu Styczniowego: a) **Utwory fortepianowe:** Michałowski A. „Kolysanka”. — Świerzyński M. „Krakowiak”. — Worobecki I. „Ale ja jestem ładna!” polka do tańca. b) **Pieśń na 4 głosy męskie** ze zbioru I. Horoszkiewicza „Użyjmy dziś żywota”. c) **Muzyka dla dzieci:** Pozdrowienie, Mazur, Wspomnienie, Dumka, Pieśń kowala i Przepiórka. Melodye ludowe opracował na fortepian L. Chojewski. d) **W dodatku literackim:** artykuły fachowe, krytyka, kronika muzyczna i t. d.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rub. 5, półrocznie rub. 2 k. 50, kwartalnie rub. 1 k. 25. Z przesyłką pocztową: rocznie rub. 6. — W Ameryce rub. 7.

Zeszyt pojedynczy kop. 60, z przesyłką pocztową, kop. 75.

Premium bezpłatne dla rocznych abonentów: **trzy zeszyty** do wyboru z lat poprzednich.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Warecka 15.

Agentura dla Galicji: u St. Sokołowskiego we Lwowie, Pasaż Hausmana No. 9.

Józef Jankowski.

ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora

☆☆☆

Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

Fabryka Konkursowych

Antigorsetów „Platinum”

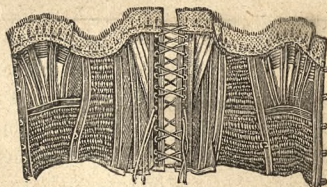
p. f. „HIGIENA”

Warszawa, Senatorska 32.

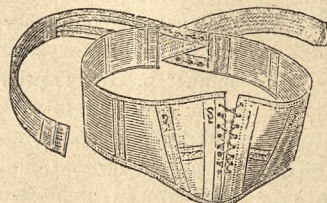
poleca po cenach możliwie umiarkowanych przedmioty następujące:

ELASTYCZNE GORSETY Pabsta

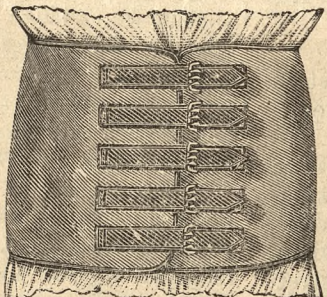
(nie gumowe) w różnych kolorach po 5 rb. 75 kop. i jedwabne po 10 rb.



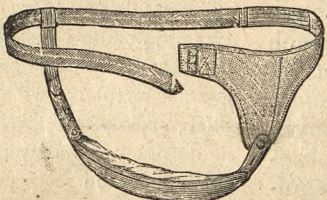
PASY BRZUSZNE najnowszego systemu, b. trwałe po 5 rubli.



PASY POPOŁOGOWE dla odzyskania pierwotnego obwodu brzuszego po 3 rb.



PASY HYGIENICZNE (menstruacyjne) z 12-ma poduszkami — po 2 rb., 2.25 k. Poduszki zapasowe 1 rb., 1.20 k. tuzin.



Zlecenia zamiejscowe wysyłamy akuracie za zaliczeniem, doliczając za przesyłkę 50 kop. Przy zamówieniu gorsetu elastycznego należy podać obwód talii (mierząc wokół na staniku) oraz długość przedniej bryki. Zamawiający pasy brzuszne lub popołogowe, zechcą podać obwód brzucha naokoło w najcięższym miejscu.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Prasuję

bieliznę męską bez szkodliwych dodatków. Warecka No 9 m. 8.

Najlepszy środek kosmetyczny

nadający cerze świeżość i czystość

Źródło piękności



Patent w Anglii

Crème CAZIMI

Metamorphosa

przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka przeciw plegom jest podpis

i dołączony do każdego słoika rysunek „ŹRÓDŁO PIĘKNOŚCI.”

Bez podpisu i rysunku zatwierdzonego przez Depart. Hadlu i Manuf. za Nr. 4683 — FALSYFIKAT.

Do nabycia we wszystkich składach mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

JAHOŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

Jadwiga Golec

Zakład fotograficzny

Hotel Bristol

winda do zakładu

12 szt. gabinetowych 12 rb.

12 szt. wizytowych 5 rb.

przyjmuje roboty amatorskie

MAGAZYN

UBIORÓW DZIECINNYCH

oraz Umundurowania dla Uczniów

Poleca

S. PRZEZDZIECKI

5. Mazowiecka 5.

Biedna wdowa po urzędniku uprasza Szanownych Państwa o łaskawą pomoc dla syna chorego na suchoty. Ulica Ogrodowa Nr. 52, m. 35. Bronisława Gruszecka.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

„Z A Ł E S K I”

przeniesione z ul. Berga na ul. Mazowiecką No 3, tel. 4214; poleca: nauczycielki, nauczycieli, bony, sprowadza Francuzki z własnego biura w Paryżu.

Wydawca: Piotr Laskauer. — Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Февраля 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

stojącym i mankiety u rękawów wykonane tak samo. Rękaw, ufaldowany w górę, wsunięty pod patkę umocowaną drobnymi perłowymi guziczkami.

Potrzeba: 4½ mtr. materiału podw. szer., ½ mtr. sukna, 8 dużych, 12 małych guzików.

№ 4. Skromna bluzka z materiału w pasy.
(Krój opw. str. tabl. Fig. 119—122).

Bluzka z materiału w wydatne pasy, kryto zapięta, wykonana na drobno dopasowanej podszewce. Rękawy namarszczone w górę, od łokcia obcisłe. Przybranie stanowią złote guziczki i wypustki z materii odpowiedniej kolorem do pasów na materiale. Z tej samej materii sporządzony jest krawat w kształcie patki, oszytej plisowaną falbaną. Na wysokim kołnierzu stojącym, wyłożony kołnierz batystowy.

№ 5. Domowa bluzka z materiału w kratę.

Bluzka z materiału w kratę w dowolnym kolorze, wykonana na dobrze dopasowanej podszewce, wymarszczona w okrągły karczek, wszyta w dole w pasek z materiału, przybranie bluzki stanowią pliski z taffetas w odpowiednim kolorze, zakończone w kształcie patek i przyumocowane złotymi guziczkami. Ładnym dopełnieniem przybrania są mankiety i kołnierz stojący z batystu, zakończone z jednej strony obrębem z mereszką, z drugiej wyłożeniem z haftu, angielskiego.

№ 6. Wiosenne, wcięte okrycie z pelerynkowymi naramiennikami. (Patrz szkic e).

Oryginalny krojem paltot na jedwabnej podszewce. przybierają tylko: duże i małe pasmamentaryjne guziki oraz stebnowka. Przody wykrajane są w ten sposób, że tworzą okrągły, na ramiona schodzący karczek. Z pod karczka, na ramionach, wysuwają się długie epolety, tworzące rodzaj pelerynki. Na plecach (patrz szkic e) poniżej stanu złożone są głębokie fałdy. Stojący wysoki kołnierz nie schodzi się na przodzie, tak, że widać z pod niego kołnierz od sukni. Rękawy gładkie od łokcia wąskie, powyżej bufiaste, szerokie.



№ 1. Wiosenny płaszcz, stosowny też do podróży.
(Odpowiedni do zreformowanych sukien).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 90—96). (Patrz szkic a).

Wzory ubiorów i robót do Nr. 10.

№ 1. Wiosenny płaszcz, stosowny też do podróży.
(Odpowiedni do zreformowanych sukien).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 90—96). Patrz szkic a).

Oryginalny formą płaszcz z pledowego, angielskiego materiału na jedwabnej, rezedowej podszewce, zapięty na 2 rzędy rogowych guzików, przybierają mankiety i kołnierz z aksamitu, kolorem dobranego do podszewki. Boki płaszcza, nieco wcięte, przyszyte są do krótkich części, tworzących rodzaj kaftanika, podsuniętego pod szeroką fałdę na plecach (patrz szkic a). Całość wykończa staranna stebnowka.

№ 2. Płaszcz wiosenny z pelerynkowymi rękawami, odpowiedni też dla osoby starszej.
(Patrz szkic b).

Płaszcz z materiału panama w tonie beige, bez podszewki lub też na podszewce wykonanej, zapięty na 2 rzędy perłowe guziki i pętelki ze sznura, dopełnia rozcięta na plecach zębato zakończona peleryna, (patrz szkic b), z przodu podwinięta w kształcie rękawów i w zakładki zastębnowana sukna na ramionach. Kołnierz z ciemnoniebieskiego sukna, pokryty haftem i aplikacją stanowi przybranie.

Potrzeba: 5 mtr. mat. podw. szer., haftowany kołnierz i 3 perłowe guziki.

№ 3. Długi płaszcz wiosenny z materiału w kratę.

Długi płaszcz z materiału angielskiego w granatowe i ciemno zielone kraty, na jedwabnej odpowiedniej podszewce, zapięty na 2 rzędy ciemnych perłowych guzików lekko wcięty na bokach, wykończony na brzegach wąską stebnowaną plisą z ciemno zielonego sukna. Kołnierz wysoki, wykładany na



Szkic a
do ryc. 1.



№ 3. Długi płaszcz wiosenny z materiału w kratę.



№ 2. Płaszcz wiosenny z pelerynkowymi rękawami, odpowiedni też dla osoby starszej.
(Patrz szkic b).

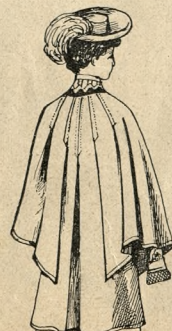
Potrzeba: 4 mtr. sukna podw. szer., 7½ mtr. jedw. podszewki, 4 duże, 12 małych, pasmamentaryjnych guzików.

№ 7. Wcięty paltocik z odciętą baskiną.
(Patrz szkic d),
(Krój pier. str. tabl. Fig. 1—7).

Przybranie zręcznego paltocika, odpowiedniego dla młodej osoby, sporządzonego z paskowego sukna na strojnej jedwabnej podszewce, stanowią: szerokie wypustki z brązowego aksamitu i perłowe guziki. Wypustki obejmują patki, stanowiące zapięcie przodów i rękawów, szalowo skrojona plisę z materiału, w kształcie szelek ułożoną na paltociku, oraz podłożone są pod szew rękawa, od spodu zapiętego do wierzchu. Rękaw gładki, prawie zupełnie wąski. Wycięcie przy szyi bez kołnierza. Baskina kilkakrotnie brzegiem przestębnowana, złożona środkiem tyłu w krytą kontrafałdę.

№ 8. Luźny wiosenny paltocik z jasnego sukna.
(Odpowiedni też do zreformowanych sukien).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 113—118).

Paltocik z jasnego paskowego, albo perłowego sukna, wykonany na jedwabnej podszewce, zapięty z boku na 3 perłowe guziki i pętelki ze sznura, może też być noszony otwarty, z szalowo odłożonymi przodami, które z tego powodu podszyte być powinny szeroko materiałem. Plisy złożone z 2-ch części, wycięte w górę w zaokrąglony ząb, sahadzą się na podszewce wyłożonej materiałem. Rękawy docięte proste, ułożone przy ramieniu w płaskie fałdy. Przybranie paltocika stanowią mankiety i kołnierz, podłożone białym sukniem i wyszyte ozdobną taśmą mieszaną z kolorem czarnym i sutaszem w kolorze paltocika.



Szkic b
do ryc. 2.

№ 9. Kostium z krótkim paltocikiem.

Kostium z kaszmiru w brudno lila tonie, składa się ze spódnicy zastębnowanej w głębokie zakładki i ułożonej



№ 4. Skromna bluzka z materiału w pasy. (Krój odw. str. tabl. Fig. 119—120).

w kontrafaldy, i z krótkiego kaftanika, lekko udrapowanego z przodu, ściętego w ostre, przedłużone końce, zapiętego na jeden guzik na białej sukiennej lub płóciennej kamizelce. Szalowy kołnierz z białego sukna, naszyty w odstępach grupami czarnych aksamitek, przymocowanych złotymi guzikami. Rękaw umiarkowanie bufasty, niezbyt długi, przy przecięciu przybrany patką z materiału, przymocowaną złotym guzikiem i zakończony fałbaną z koronki.

№ 10. Kostium z sukna w dwóch kolorach.

Sukno w tonie beige i sukno kremowe bardzo ładne tworzą zestawienie. Spódnica, wykonana na oddzielnej podszezwce,



№ 9. Kostium z krótkim kaftanikiem.

№ 10. Kostium z sukna w dwóch

zastębnowana w górze w drobne zakładki, naszyta w dole dwiema szerokimi plisami z sukna kremowego, jedną gładką, druga wycięta w zęby. Plisy starannie nastębnowane, ujęte w pliski wazkie z materiału. Gładki stanik angielski spięty wązkim paskiem z materiału, w całości prawie pokrywa duży kołnierz z białego sukna, ujęty na brzegach w plisy z materiału i naszyty środkiem nastębnowanym materiałem w rodzaju aplikacji. Małe wycięcie kołnierza wypełnia biały płócienny napierśnik ze stojącym wązkim kołnierzykiem. Szerokie rękawy zakończone dużym mankietem przybrany odpowiednio do naszyca spódnicy.

Potrzeba: 6½ mtr. ciemniejszego, 1½ mtr. kremowego sukna pod. szer.

№ 11. Sukienka z bluzką dla dziewczynki od 8—9 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 33—47).

Sukienka z granatowego szewiotu składa się z kolistej, w górze przymarszczonej spódniczki i z długiej, luźnej bluzki przybranej dużym białym kołnierzem, rodwiązanym ponsową jedwabną krawatką. Bluzka, zastębnowana z przodu w schodzące się z sobą fałdy, zapięta na perłowe guziki, w około ponad stan wyrzucana. Spódniczka, zakończona stębnówką, przecina na 12—15 ctm. powyżej plisa stębnowana, luźno odszyta i podłożona od góry białą wypustką. Napierśnik naszyty na staniku z podszezwki wypełnia wycięcie kołnierza, kołnierz ozdobiony pliskami z czerwonego sukna. Rękaw kolorowy zakończony wązkim mankietem i obłożeniem podłożonym białą wypustką.

№ 6. Wiosenne wcięte okrycie z pelerynkowymi naramiennikami. (Patrz szkic e).

№ 12. Ubranie z białą bluzą dla chłopczyka od 6—7 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 48—57).

Spodnie z granatowego sukna zapięte przy kolanach na 3 złożone guziki. Luźna, szeroka bluzka, z białego szewiotu, zapięta na perłowe guziki. Rękawy koszulowe zastębnowane przy rękę w zakładki. Duży, przypinany, marynarski kołnierz z granatowej satyny, naszyty płócienną tasienką i sutaszem, podwiązany białą jedwabną krawatką.

№ 13. Kostium spacerowy z paltocikiem redingote. (Patrz szkic e).

Kostium z sukna w tonie beige, składa się z niezbyt krótkiej spódnicy, wykonanej na oddzielnej podszezwce i zastębnowanej w 2 szeregi zakładek, oraz paltocika wciętego jak stanik, z oddzielnymi, bardzo długimi połami, włożonego na odrębną, jedwabną bluzkę. Paltocik przybierają wyłogi i stylowy kołnierz, wysyty aksamitem w ciemniejszym znacznie tonie. Aksamit obejmuje stębnowana pliska z materiału. Podwójna, stębnowana brzegiem pelerynka wysuwa się z pod aksamitnego kołnierza i luźno opada na ramiona. Rękawy przy rękę rozcięte, wązkie, ppzry ramieniu szerokie. Paltocik podszyty jedwabną strojną podszezwką.

Potrzeba: 8 mtr. sukna podw. szer., ½ mtr. aksamitu, 7 mtr. jedwabnej strojnej podszezwki, 3 płaskie aksamitne guziki.



Szkic e

Szkic d

№ 11. Sukienka

№ 12. Ubranie z białą bluzą.



№ 14. Kostium z paltocikowym stanikiem.

Materiał: skośnie krajana wełna w czarnej i białej kraty. Przybranie: taśma, pleciona z białej i czarnej wełny, naszywana w zygaki w dole spódnicy, na rękawach i na staniku, w około karczka z plisowanej czarnej materyi, schodzącego na ramiona i przedłużonego z przodu w kształcie kamizelki. Stanik i spódnica na jedwabnej podszezwce, stanik na jasnej, spódnica na czarnej. Rękawy bardzo umiarkowanie szerokie, zastębnowane w górze w drobniutkie zakładki.

Potrzeba: 9 mtr. mat. podw. szer., 1¼ mtr. taffetas, 30 mtr. taśmy, 4 srebrne guziki.

Przepisy kuchenne.

Zupa neapolitańska.

Dobry rosół (może być w części z cielęciny, bo o kolor nie chodzi) zaprawić sporą ilością śmietany. Śmietana powinna być bardzo dobra i wziąć jej należy na 6 talerzy rosółu ½ kwarty. Rosół ze śmietaną zagotować. Osobno w wazie rozmieszać doskonale 4 żółtka z ¼ funt. utartego parmezanu, włożyć makaronu średniej grubości, połupanego poprzednio w małe kawałki i na miękko ugotowanego i wlać rosół do wazy. Wlewać należy zrazu ostrożnie, żeby się żółtka nie zwarzyły. Osobno podać można jeszcze tarty parmezan do dosypywania.

Krupnik grzybowy postny.

Sporą garść grzybów ugotować z włoszczyzną, cebulą, korzeniami, solą, z dodaniem łyżki masła. Osobno wstawić szklaneczkę najdrobniejszej kaszy perłowej, sparzywszy ją poprzednio i należycie wymywszy. Kaszę nalać rosółem z grzybów i włożyć do niej łyżkę masła. Mieszać należy często, żeby się dobrze rozkleiła. Gdy grzyby i kasza miękkie, rosół grzybowy przecedzić, rozbić z kaszą i zagotować z ½ kwartą śmietany (bez maki). Do wazy cieniutko pokrajać trochę grzybów i włożyć parę plasterków cytryny.

Rumiana potrawka z cielęciny.

Mostek cielęciny zbić mocno, sparzyć wrzącą wodą, przygotowaną z kilkoma łyżkami octu i korzeniami. Gdy ostygnie z wody osączyć, przekrajać na parę kawałków, osolić z obu

№ 7. Wcięty paltocik z odciętą baskiną. (Patrz szkic d). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 1—7).

stron, obrumienić na sklarowanym maśle (niesklarowane przypala się) włożyć w rondel, masło z patelni wymieszać z rosółem wlać do rondla, włożyć całą cebulę, parę plasterków włoszczyzny, dodać korzeni i dużyć pod pokrywą, podlewając lekkim rosółem lub buljonem, aż cielęcina będzie zupełnie miękka. Wtedy wyjąć, ostudzić i, pokrajać starannie na mniejsze kawałki. Rosół z masłem z rondla zlać, zrumienić dobrą łyżkę masła, wymieszać z mąką (ilość zwykła do sosu, zależy od ilości tegoż) wlać przecedzony sos od cielęciny, dolać rosółu i dobrze wymieszać, w końcu dodać pieczarek, pokrajanych i uduszonych osobno w maśle, rosół i kilku kroplach cytryny, włożyć cielęciny i zagotować. Podać do potrawy ryż, albo kaszkę syrką.



Szkic e

Szkic f

№ 13. Kostium spacerowy z paltocikiem redingote. (Patrz szkic e).

№ 14. Kostium z paltocikowym stanikiem. (Patrz szkic f).

№ 8. Luźny wioś. (Odpowiedni też do... (Krój odw. str.

Obiad

Zupa pomidorowa czy sta z grzankami z parmezanem.
Pudding z ryby z sosem kaparowym.
Roastbeef z krokietami z kartofli.
Kalafiory z masłem.
Drób i zwierzyna.
Sałata, kompoty.
Krem karmelowy z ananasem.



